

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 62.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8,
półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 19 listopada 1860.
1 grudnia
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie
rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie
rsr. 3. — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Od redakcyi.—Dr. Karol Marcinkowski (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa.—Olyka (z drzeworytem).—Kościół i klasztor św. Katarzyny pod Łysą górą (z drzeworytem).—Pomnik Aleksandra Sobieskiego w Rzymie (z drzeworytem).—Hrabianka Dynia, obrazek skreślony przez Teod. Tom. Jeża (dalszy ciąg).—Korespondencya od redakcyi.—Doniesienia.—Wiek przeszły i wiek teraźniejszy (z czterema drzeworytami).—Szachy i rebus.

OD REDAKCYI.

Z Nowym rokiem 1861 rozpoczynamy tom nowy, t. j. trzeci, Tygodnika Ilustrowanego.

Bóg pobłogosławił naszą pracę i chęciom najszczerzszym: współczucie ogółu czytelników, którego tyle już odbieraliśmy dowodów, statecznie wspiera nasze kroki, stając się dla nas bodźcem do dalszych usiłowań i zarazem najmiłszą ich nagrodą.

Głównym zadaniem naszego pisma pozostanie, jak dotąd, tak i nadal: zbieranie kłosów na niwie ojczystej i dzielenie się niemi z powszechnością;—obznajmianie czytelników z pamiątkami dziejowymi i ze sztuką krajową; zapozdawanie ich z życiem społecznym, zwyczajami i obyczajami różnych okolic, ze względem szczególnym na charakterystykę ludu, jego typy i ubiory; podnoszenie i rozwijanie każdej myśli żywotnej a pocziwój;—słowem to wszystko, co obok pożytku, obudzić może ogólniejsze zajęcie.

Nie zmieniając wszakże zasadniczej treści naszego Tygodnika, starać się jednak będziemy o coraz większe rozwijanie go, w kierunku zarówno artystycznym jak literackim.

Po ukończeniu jeszcze w roku bieżącym *Obrazów wielkopolskich*, dać zamierzamy szereg podobnych obrazków z różnych okolic kraju, łącząc do nich stosowne drzeworyty.

W szeregu tym z kolei rozpoczniemy wkrótce druk *Obrazów krakowskich*.

W dziale *powieściowym* zamieszczone będą w ciągu roku przyszłego prace: J. I. Kraszewskiego, Zyg. Kaczkowskiego, Lach z Lachów, Z. I. A. (autorki „Za późno“ i „Kopciuszka“), oraz kilku innych utalentowanych pisarzy.

Do działu *podróży* mamy przyrządzoną ob-

wiednie ilustracye zostały już przygotowane. Drukować także będziemy *Wyjątki z podróży po Litwie* Wład. Maleszewskiego, podobnie z drzeworytami.

Działowi *humorystyki* zamierzamy w roku przyszłym więcej jak dotąd poświęcić miejsca, starając się uwydatnić nią myśli żywotne, cały kraj obchodzące, i śmiało wypowiedaną krytyką uderzać w nałogi, wady i przesady narodowe.

Od Nowego roku 1861 Tygodnik Ilustrowany drukowany będzie pismem zupełnie nowym.

Cena Tygodnika pozostaje w Warszawie:

rocznie	rs. 8 kop. —
półrocznie	„ 4 „ —
kwartalnie	„ 2 „ —
miesięcznie	„ — „ 67½.

Na prowincyi i w Cesarstwie:

rocznie	rs. 12
półrocznie	„ 6
kwartalnie	„ 3

z nadmienieniem, że Prenumeratorowie z Cesarstwa, otrzymujący tylko sam Tygodnik, płacą *kopertowe* od każdego egzemplarza rs. 2 rocznie. Jeśli Tygodnik ma być wysyłany w kopercie innego pisma, to redakcyja uprasza o wyraźne wymienienie tego pisma przy nadsyłaniu pieniędzy.

Szanowni Prenumeratorowie na prowincyi zechcą zapisywać się wcześniej na właściwych stacyach pocztowych, od tego bowiem zależy będzie głównie regularny odbiór pierwszych numerów z kwartału następnego.

Zażalenia z powodu spóźnionego albo w złym stanie odbioru Tygodnika, nadsyłane pod adresem redakcyi, załatwiane będą z jaknajwiększym pośpiechem.



Dr. KAROL MARCINKOWSKI.

Dr. Karol Marcinkowski.

szerną pracę Romana Zmorskiego: *Podróż po Słowiańszczyźnie południowej*, do której odpo- z chlubą i radosnym zadowoleniem zastanawia się nad żywotem mężów co zrodzeni w domu bogatym, zamo-

żności, uprawą wszelaką, podaniem rodzinnym i znaczeniem, umieli nietylko nie sprzeniewierzyć się obowiązkowi jakie na nich te dary trafunkowe wkładają, ale dodać jeszcze własnego blasku do świetności odziedziczonego imienia; stokroć większa musi go przejmować duma, radość i otucha na wspomnienie ludzi, co z szarego wyszedłszy tłumu, własną dzielnością i cnotą zwyciężyć potrafili niezliczone przeszkody materyalne i moralne, by zdobyć sobie podwójną sławę: wysoko w narodzie zasłużonego obywatela i ludzkości zaszczyt przynoszącego człowieka. Do takich wyborowych ludzi policzyć się godzi, policzyć należy Marcinkowskiego.

Karol Marcinkowski urodził się w Poznaniu, dnia 23 czerwca 1800 r., w ubogim domku na przedmieściu św. Wojciecha, z rodziców niezamożnego stanu mieszczańskiego. Ojciec trzechletnim odumarł go sierotą; matka, drobny utrzymująca sklepik trunków i wiktuałów, znana zresztą z przywiązania do pięciorga swych dzieci, łożyła co mogła na szkolne wykształcenie syna. Po odbyciu nauk elementarnych w tak zwaną reformacką szkołę, przeszedł młody Karol w r. 1811 do poznańskiego liceum, a po następną pruską szkołę reorganizacji, do miejscowego gimnazjum. W tym już wstępnym okresie naukowego zawodu, zwracał on uwagę nauczycieli niepospolitemi swymi zdolnościami, a zyskiwał powszechną miłość i szacunek współuczniów, szlachetnym sercem i umysłem skierowanym ku wyższym rzeczom. Po ukończeniu szkół w r. 1817, idąc za radą dyrektora gimnazjalnego, Kaulfusa, porzucił pierwotną myśl oddania się zawodowi nauczycielskiemu, by się sztuce lekarskiej poświęcić. Środki do odbycia nauk uniwersyteckich miał mu podać spadły nań właśnie legat pewnego obywatela ziemskiego, E. Grabskiego, który oceniając niezwykle zdolności młodego ucznia i w chęci przysposobienia krajowi użytecznego obywatela, zapisał mu był 1800 talarów na dokończenie nauk. Wszelako mniejsza tylko część legatu została na razie wypłaconą Marcinkowskiemu; reszta doszła rąk jego dopiero w r. 1824, kiedy skończonym będąc lekarzem, obcej nie potrzebował już pomocy; przekazał więc młody legataryusz te pieniądze na szpital sióstr miłosierdzia.

Rozpocząwszy kurs nauk uniwersyteckich w mieście Hejdelbergu, kończył je w Berlinie. Żyje po dziś dzień jeszcze nad Wartą i nad Wisłą pokolenie, co stosunkami do tej wszechnicy niemieckiej zawiedzione, pospołu z Marcinkowskim spędziło złoty czas akademickiego żywota, czas młodzieńczych marzeń, szlachetnych porywów, lekko w braterskim pożyciu znoszonych trudów i ograniczeń. Oni to najlepiej opowiedziećby mogli zapał z jakim Marcinkowski wybranej sztuce się poświęcał, hart duszy z jakim umiał znosić lub przełamywać trudności z niedostatku materyalnego płynące, złote serce i szlachetny a rozległy umysł, którymi z uwielbieniem graniczącą miłość kolegów swoich na zawsze sobie zdobywał, a przytém wszystkiemu jego troskę nieustanną o dobro kraju rodzinnego, bo do tej ogólniejszej miłości całe jego młodzieńcze już życie się odnosiło.

Przy końcu nauk uniwersyteckich w r. 1822, przebywał Marcinkowski w Weichselmünde, i tam rozwinął się w nim zaród piersiowej choroby, jaka później pasmo dni jego przeciąć miała. Wróciwszy z Weichselmünde, doktoryzował się w Berlinie, poczem stale w rodzinnym swoim osiadł mieście, jako lekarz praktyczny. Niebawem zyskał sobie rozgłosne w całej prowincji imię; wzięcie jego, wpływ i znaczenie z każdym wzrastały rokiem. Jako głęboki znawca sztuki lekarskiej, który tę sztukę z rzadkiem dla ludzkości poświęceniem, z niezwykłą genialnością i zasłużonym szczęściem wykonywał, jednal on sobie coraz to większe zaufanie i miłość cierpiących, którzy z odległych nawet stron doń po ulgę, radę, pociechę spieszyli. Jako wylany dla sprawy publicznej obywatel, zdobywał on sobie coraz to wyższe stanowisko niemal w całym w. ks. poznańskim. Wielką mu w tym ostatnim względzie były pomocą koleżeństwa i przyjaźni uniwersyteckie, z młodym pokoleniem zamożniejszych i na świeczniku będących obywateli w. księstwa pozawierane. Dwustronne to wzięcie Marcinkowskiego tak już było wielkie po latach kilku, że kiedy w roku 1829 nerwowa gorączka, rzuciwszy go o łożo, życiu jego groziła, tłumy ludu zalegały poznańskie kościoły, modląc się o odwrócenie tego ciosu, jakoby o wybawienie odkłęski publicznej; w roku

zaś następnym czoło obywatelstwa wielkopolskiego zakupiło z pozostałości po niedawno zmarłym arcybiskupie Wolickim kosztowny pierścień, który ten książę kościoła, a zarazem przodownik wcnocie obywatelskiej, zwykł był nosić, ażeby tę drogocenną relikwią narodową w hołdzie obywatelskiego uznania złożyć Marcinkowskiemu.

Przy końcu 1831 r. Marcinkowski, znajdując się w okolicy Kłajpedy, pędzony nienasyconą nigdy żądzą działania i poświęcania się dla bliźnich, wyrobił sobie pozwolenie udania się do samego miasta, gdzie straszliwa wtedy grassowała cholera. Nabyta już poprzednio znajomość natury tej zarazy, równie jak niezmordowana, nieustraszona i najczystsza miłością bliźniego zawsze ożywiana czynność jego lekarska, niemało się przyczyniły do złagodzenia klęski, zbawienną zarazem wlewając otuchę w upadłe serca dziesiątkowanych mieszkańców. Magistrat i rada reprezentantów Kłajpedy, wywdzięczając się obcemu lekarzowi, co jako ochotnik przyszedł sam na śmierć się narażać, by ich od śmierci ratować, wystosowały do niego urzędowy adres dziękczynny, gdzie między innymi powiadają: „że w rocznikach miasta imię Marcinkowskiego wspomniane będzie w najodleglejszej potomości ze czcią i wdzięcznością.“

Marcinkowski popłynął z Kłajpedy do Szkocji. Zwidziwszy z kolei Irlandyą, przebywał potem czas dłuższy już to w Anglii, już we Francji, doskonalcąc się w swą sztukę i skarbiąc sobie, podobnie jak w kraju, uznanie i podziwienie obcych, miłość i uwielbienie swoich. W tym to okresie czasu, w r. 1833, paryżka akademii nauk, rada uznać i zawdzięczyć pomoc jaką był niósł francuzkim lekarzom w zgłębieniu natury i sposobów leczenia cholery, przesłała mu wielki medal złoty.

Naglony prośbami i zachętami z kraju, wybrał się w r. 1834 z powrotem do ojczyzny; musiał jednak zatrzymać się przez pięć miesięcy w Berlinie, a następnie po przybyciu do Poznania, znowu odjechać do Świdnicy. W kilka miesięcy potem straszliwa wybuchła cholera w Poznaniu. Działo się to w roku 1837. Dziesiątkowana ludność na duchu upadała, bo nie było tego, który samém już zjawieniem się swoim zwykł był dodawać otuchy i podnosić serca. Głośno i rozpaczliwie wołał lud o Marcinkowskiego. W tak wyjątkowych okolicznościach pozwolono wrócić niezbędnemu lekarzowi. Przybycie Marcinkowskiego do Poznania równało się tryumfowi; patrząc bowiem na ówczesne oblicze miasta, powiedziałbyś że do grodu na zaturę skazanego, anioł zbawienia zawitał. Wszystko odżyło, otucha wstąpiła w serca; cholera też niebawem łagodnieć poczęła.

Bez przerwy odtąd wiódł Marcinkowski w Poznaniu nad wyraz czynny swój żywot, cały usłudze cierpiącej ludzkości i dobru kraju oddany. W rzeczach lekarskich był powagą sigającą daleko poza granice w. księstwa; w sprawach publicznych był najważniejszą dla całej prowincji osobą. Bez przesady nazwać go można w okresie czasu pomiędzy 1837 a 1844 r. dyktatorem moralnym w. ks. poznańskiego, na którego wszyscy się oglądali któremu, radzi nieradzi, wszyscy niemal ulegali, który nietylko zasobami duchowymi, ale i zasobami materyalnemi wielkopolskiego obywatelstwa samowładnie rozporządzał i szafował.

Każda jednak potęga ziemiska ma swój okres wzrostu, szczytu i zachodu; przyszła chwila reakcji i w panowaniu Marcinkowskiego. Poczucie wyższości swojej, nawyknięcie do przewodzenia i rozstrzygnięcia w każdej kwestyi publicznej, wreszcie fizyczna drażliwość z nadwątlonego zdrowia płynąca, zrobiły go mniej cierpliwym na opór, nieraz nawet twarzym i gwałtownym. Z drugiej strony ciągle to pędzenie do czynnego życia, ciągle wymaganie ofiar pieniężnych, zaczęło się niejednemu przykrzyć; a lubo mało kto miał odwagę jawnego wypowiedzenia posłuszeństwa, mało kto zręczność skupienia i przyzwrotności przystrojenia tych żywiołów opozycji, niemniej przeto mnożyły się one, stosownie tylko czekając chwili do wystąpienia. Chwila ta nadeszła około r. 1844. Szerzone podówczas w w. ks. poznańskim wyobrażenia, nie zdoławszy zyskać dla siebie Marcinkowskiego, musiały, naturą rzeczy pchane, powagę i potęgę jego podkopywać. Pierwszy raz w życiu zaczął on być pomijanym w kwestyach, które pod każdym względem do publicznych zaliczyć było można. Zarzucano mu z pewnej strony, że nie stoi na wysokości swego stanowiska, że z małego wy-

szły mieszczaństwa, szerzy w narodzie ducha episyerstwa i burżoazyi (jak wtedy, zagranicznym hołdując doktrynom, po zagranicznemu się wyrażano), że wznieść się niezdolny do pojęcia czasu.

Pod taką więc przystojną chorągiew zasadniczej opozycji, zaciągnęły się także i uszykowały wszystkie mniej przystojne żywioły owej rozstrzelonej dotąd i pokątniej opozycji samolubstwa lub zawiści, które się nieśmiało i samopas dotąd tułały. Nadszedł w takim stanie rzeczy rok 1846, a z nim smutne wypadki z miesiąca lutego. Odbiły się one najboleśniejszym echem w podrażnionej już i rozbolełej duszy Marcinkowskiego; ujrzał bowiem naraz owoc wieloletnich usiłowań swoich w wątpliwość podany, społeczeństwo, z którym zrosł się był sercem i duszą, okryte żalobą, tłumy, do których uległości i uwielbienia był nawykł, zwracające się ku innym gwiazdom przewodnim; zdało mu się nadto, że wśród zamętu ówczesnych wypadków widzi, miasto hartu, dzielności, prawdy, poświęcenia, rozumu i tych wszystkich cnot naczelnych, które są niezbędnym warunkiem samobytu społeczeństwa, krzykliwą a małoduszną junakierią, najpospolitszą a napuszoną próżność, ciasne doktrynerstwo, świat i ludzi dla formułki swojej poświęcać gotowe, łudzenie siebie i drugich, albo wreszcie poczciwą ale ograniczoną gotowość iścicia za pierwszym lepszym popędem. Zrozumieć łatwo, jak człowiek co życie swoje całe, całą duszę i serce w jedno szlachetne wiał dążenie, czuć się musi w podobnych chwilach przepelnionym goryczą, zawodem, rzechy można śmiercią i nicestwem; mimo cały hart żelazny, a może nawet dla tego hartu, czuje się on naraz samotnym wśród ukochanych, bezsilnym jakoby marzycielem, w obec dzielności i jasnowidzenia własnego: niezdolny nagiąć się, pęka złamany.

Zdrowie Marcinkowskiego od lat już kilku wielorako szwankowało; nabyty zaród piersiowej choroby, groźnie po kilkakroć zaczynał się rozwijać pod wpływem nadludzkich trudów i zupełnej niemal poniewierki, w jaką Marcinkowski ciało swoje puszczał, na bezwzględna i niepomiarkowaną skazawszy je posługę niezmordowanego swego ducha. Chwilowy odpoczynek i wody reinerckie zdołały były dotąd wstrzymać postęp złego. Pod naciskiem moralnych boleści, przyszło jednak teraz do stanowczego przesilenia. W lecie roku 1846 rozwinęły się suchoty piersiowe. Widząc wające z dniem każdym siły i żadnym co do stanu swego nie oddając się złudzeniom, usunął się w wiejskie ustronie do zażytych przyjaciół. Tam w Dąbrówce Ludomskiej, w powiecie obornickim, d. 7 listopada tegoż roku życia dokonał.

Jeżeli w ostatnich latach jego życia pojawiały się w łonie społeczności wielkopolskiej mniej lub więcej wyraźne oznaki wzmagającego się oddziaływania przeciwko sprawowanemu przezeń wszechwładztwu, wszystko to ucichło naraz z chwilą jego zgonu: bo śmierć ma to do siebie, że w obliczu strasznej jej wielkości i potęgi, poziome milkną uprzedzenia, namiętności i różnice, by chwilowo chociaż dać w każdym niemal sercu i umyśle przystęp wznioślejszym i szerszym poczuciom. Kiedy Marcinkowskiego na zawsze zabrakło, najzawziętsi nawet jego przeciwnicy zapomnieli o mniemanych czy istotnych niedostatkach zgasłego męża, by pospołu z ogromną większością prowincji, niepowetowaną uczuć stratę i szczyrte ją oplakiwać. Pogrzeb Marcinkowskiego rzadki zaiste przedstawiał widok. Na przyjęcie zwłok jego, które włościanie na swych barkach do Poznania wnosili, wyszły za miasto nieprzeliczone rzesze wszech stanów, wyznań i narodowości, równie jak cechy wszystkie z chorągiewami. Za przybyciem do miasta orszak pogrzebowy nabrał smutniejszej jeszcze wystawności. Można powiedzieć, że nikogo tam z całego w. księstwa nie brakowało. Przed zwłokami lekarza, co za życia uchodził za racjonalistę i letniego przestrzegacza praktyk religijnych, a ztąd wielorakie wywoływał sarkania zelotów, postrzegał postępujących w całej pompie kościelnej arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego, wraz z prałatami kapituły i całym duchowieństwem miejscowym i okolicznym; w orszaku pogrzebowym obywatela, postępowali najwyżsi pruscy dostojnicy wojskowi i cywilni, niemiecki magistrat i także rada miejska; za ciałem ambientnego, jak powiadali niektórzy, mieszczańska, co chciał trząść całą Wielkopolską, cisnęli się familianci i nieprzeliczona szlachta; zwłoki tego, co zdaniem pewnej

liczby, umiał być tylko episyerem, niósł na swych barkach z miejsca śmierci aż do miejsca wiecznego spoczynku, pięć mil drogi, łzami zalany lud popolity. W nieprzejrzanym orszaku tysiączne postrzegałeś tłumy; a byli wieśniacy i mieszczanie, bogaci i ubodzy, starzy i młodzi, Żydzi zarówno jak chrześcianie, Polacy i Niemcy, męże, niewiasty i dzieci. Oddawali oni wszyscy hołd, w niejednych mimowolny i jakby niewidzialną jakąś wymuszony siłą, zgasił cnotę i potęgę. Tak, potędze! bo Marcinkowski stanowią w w. ks. potęgę, jakiej oddawna tam nie było, jaką się nie tak rychło tam ujrzy.

Popioly zmarłego spoczywają na cmentarzu św. Marcina, tuż za bramami Poznania. Stok nowo zbudowanej twierdzy tak właśnie wypadł, że obejmuje miejsce wiecznego spoczynku; żadnych ztąd większych i trwalszych pomników budować tam niewolno. Wszelako cześć i miłość kolegi uniwersyteckiego, towarzysza broni, prac obywatelskich uczestnika i najwierniejszego za życia i po śmierci przyjaciela (*), naznaczyły ogromnym głazem ze szczerzego granitu, jaknajprościej w sześcian ociosanym, miejsce gdzie spoczywa ziemską powłoka, w której niegdyś ta szczerą i prosta, a granitowa i wielka dusza mieszkała. Dzięki téż troskliwosci przyjacielskiej, odkupiono na wieczne czasy z rąk prywatnych całą okólną dzielnicę cmentarnego pola; drogą forteczną i sztachetami od reszty cmentarza odgradzona, przybrała ona u mieszkańców Poznania miano cmentarza Marcinkowskiego.

Marcinkowski był postawy średnio wysokiej i smagłej, rysów twarzy szlachetnych i wydatnych; ich wyraz, równie jak dźwięk głosu i rytm mowy, szczególne stanowiły połączenie imponującej pewności, z zajmującą słodyczą. Bystre, przenikliwe oko, pomimo surowego nieco wejrzenia, odbijało zawsze dobroć i swobodę. Ruchy ciała, czasem nagłe i żywe, skupiały się pospolicie w powadze i rozmyśle. W całej swój osobie miał coś magnetycznego, co za samem jego pojawieniem się serca mu zniewalało, słabym dodawało otuchy, najdumniejszym imponowało, a wskrós przejmowało ludzi z mniej czystym sumieniem. Obdarzony z natury zdrowiem czerstwem, powiedzieliby można żelaznym, podkopać i w końcu zedrzyć je za ledwie zdołał, przez wieloletnie i niepomiarkowane trudy, którym tylko przyrodzony sił żywotnych zasób, a nader proste i wstrzemięźliwe życie, jakąś przeciwwagę stawiały. Na skromnym, z kilku niezbędných izb złożonym, przestawał zawdy mieszkaniu. Jeśli ktoś, obcy w Poznańskim, komu Marcinkowski z ogólnej tylko znany był sławy, jakąkolwiek wiedziony pobudką, zawitał do tego mieszkania, sam już widok kwatery i panującego w niej trybu, mógł mu posłużyć do bliższej charakterystyki jej właściciela. O każdej porze dnia, a często i nocy, postrzegał on tam na schodach, w sieni, w przedpokoju, rzęszę chorych, cierpiących i potrzebnych, wszelakiego stanu i płci, wyznania i narodowości, którzy czekali na radę, pomoc, na słowo i wejrzenie pociechy. W poobiednich godzinach, przeznaczonych szczególnie do posłuchań lekarskich, zastęp młodych lekarzy, uznających w Marcinkowskim mistrza swego, pomagał mu w szybkich a zręcznych operacjach, w pisaniu licznych recept, w dawaniu liczniejszych rad i objaśnień. Cały ten ruch czysto-medyczny zwiększał się i urozmaicał bezustannymi odwiedzinami obywateli miejscowych i przyjezdnych, uczonych, artystów, profesorów, młodzieży i kobiet. Ten przychodził hołd swój złożyć zasłużonemu mężowi, ów po radę lub pomoc w rozpoczynanym zawodzie, tamten z publiczną nowiną, inny z ważnym zapytaniem, drudzy na obywatelską naradę, a takich było najwięcej, owa z żądaniem rady lub pomocy dla jakiego zakładu, szpitala, lub uczynku miłosiernego. Jeśli gospodarz był nieobecny, co się oczywiście często zdarzało, drzwi jego stały zawsze bliższym znajomym i częstszym gościom otworem; czekali tu oni na niego, lub bez niego nawet w jego pokojach radzili i gospodarzyli. Obcy więc przychodził, wstępując w te progi, odbierał wrażenie jakiejś ożywionej głównej kwatery. Była też to zaiste główna kwatery ówczesnego publicznego życia wielkopolskiego. Stał pory w pokrępaniu ciała jadłem i spoczynkiem, nie znał Marcinkowski. Bez wielkiej przesady powiedzić można, że połowę nocy żywota swego bezsennie spędzał, spie-

sząc każdej chwili, gdzie go cierpiąca ludzkość lub obowiązek obywatelski wzywały. Zdarzało się nieraz, że w słotnej lub zimowej porze kilkunastomilową przestrzeń, tam i napowrót, konno przebywał w ciągu 24 godzin; bo dla tém większego pośpiechu, miał zwyczaj wierzchem odbywać bezustanne wycieczki swoje na prowincyę, do wołających o radę i pomoc. To też lubił i trzymał dzielne konie; stanowiły one jedyny zbytek którego sobie pozwalał. Ale wierzchowce jego nie były w stanie dotrzymać miary trudów, którym się jeździec poddawał; ztąd dosiadywał często w owych doraźnych podrózach swoich koni pocztowych lub wprost od pługą wziętych. Jeśli dla przykładu raczej i zachęty, niżli dla własnej rozrywki, do polskiego zajrzał teatru, nigdy na inne jak na skromny parter nie chodził miejsce. Bardzo znaczne dochody swoje, które mu ogromna wziętość lekarska, a ztąd niezwykle obszerna praktyka zapewniały, obracał, po opędzeniu nader szczupłych potrzeb osobistych, na wspieranie ubogich chorych, na różne dobroczynne cele, na kształcenie niezamożnej młodzieży, wreszcie na najrozmaitsze składki i przedsięwzięcia obywatelskie, cichą ale ciągle otwartą szafując dłonią. W ogóle cały zewnętrzny tryb jego życia cechowała wielka prostota, bez szukaney wszelako przesady, rzadkie zaparcie się samego siebie pod względem najnaturalniejszych wymagań ciała i ciągła gotowość poświęcania wszystkiego dla ludzkości, bliźnich i kraju.

Charakter jego łączył w sobie bardzo przeciwne na pozór przymioty. Obok wrodzonej szlachetności duszy, którą do najdelikatniejszych posuwał odcieni, obok prostoty i zaparcia siebie samego, postrzegałeś niekiedy wewnętrzną dumę mieszczanina, który czuł się wyższym i lepszym od wielu przez urodzenie i obyczaj uprzywilejowanych. Obok słodyczy, ciepłowości, pobłażania i miłosierdzia, mianowicie dla biednych, chorych i utrapionych; obok niewyczerpanego skarbu jakiejś osobnej dobroci serca, która chyba przez owę ewangeliczną *mansuetudo* da się oddać, szła w parze pewna swego stanowczość w sądzie, słowie i czynie, twarda bezwzględność na drobne słabości ludzkie w obec większego zadania lub celu, hart woli, który prawdziwie żelaznym nazwać można było. Nad wszystkiém tém górowała, wszystko przenikała, kierowała wszystkiém, miłość bliźniego i kraju. A jednak, mimo wszystkie skarby jasnej głowy i wylanego serca, nie był to człowiek tkliwego uczucia, nie był to człowiek nauki, ale przedewszystkiém człowiek czynu.

Marcinkowski pozostał bezzennym, jak wielu, których żywot szerszą zapełniony miłością i szerszymi troskami, zdaje się nie pozostawiać wczasu i miejsca dla najbliższych uczuć i trosk rodzinnych. Serce jego nie było jednak obce owym tklivszym uczuciom ludzkim. Miał związki przyjaźni, które w młodości zawarte, aż do grobu przetrwały. Najczulsza z nich, bo oparta na wspólnych młodzieńczych marzeniach bezwzględnej dla cierpiącej ludzkości poświęcenia, łączyła go z doktorem Sznajdrem. Towarzyszy i współpracownik ten Marcinkowskiego w stwierdzanych czynem wyskokach wyobraźni, łaknącej trudu i umartwienia dla miłości sztuki i bliźniego, rychło go odumark, niegasły w sercu jego żal zostawiając. Powiadano, że i tklivsze od przyjaźni uczucie do serca Marcinkowskiego przystęp znalazło. Spotykał on się wielokrotnie na drogach żywota swego ze szlachetną niewiastą, której serce podobnie było pełne miłości dla kraju i dla cierpiących. Wspólność niejednych kolei i wspólność uczuć, zrodziły najprzychylniejszą między niemi znajomość; różne względy i przeszkody, być może także różnica stosunków rodzinnych, nie pozwoliły tej wzajemności przejść granic czulej przyjaźni, jaka się niekiedy między mężem a niewiastą trafiać zwykła. Zaledwieby się godziło tak osobistych i poufnych dotykać tu stosunków, gdyby ten właśnie ustęp życia Marcinkowskiego nie był dostarczył jednemu z literatów naszych przedmiotu do dramatycznego utworu, drukiem ogłoszonego. Pan Maurycy Mann, jeden z dzisiejszych redaktorów *Czasu*, wydał w r. 1849 w Poznaniu dramat pod tytułem: *Sztuka i miłość*. Bohatorem jest doktor Karol, treścią zaś dramatu, walka między powołaniem do sztuki, a miłością dla Kassylidy. Sztuka nad miłością zwycięstwo odnosi. Życie Marcinkowskiego dostarczyło podobnie wątku do powieści ludowej, która wyszła w r. 1850 w Chelmży (w Prusiech wschodnich) pod napi-

sem: *Doktor Marcinek, doktor cudowny, doktor cudotwórca*.

Obok tylu jaśniejących stron charakteru i żywota, miał zaiste Marcinkowski swoje niedostatki, bo któż ze śmiertelnych od nich wolny? Z młodocianego wychowania głęboko wpojonęj nie wyniósłszy tradycyi religijnej, tém mniej mógł ją nabyć w ciągu nauk lekarskich i przyrodniczych, które raczej do pewnego materialistycznego racjonalizmu zbyt wyłącznych swych zwolenników skłaniać zwykły. To też pewna letniość, jeśli nie obojętność, w rzeczach wiary widocznie u niego przebijała. Owe skarby miłości i różnych cnót chrześcijańskich, które życie jego ozdobiły, zawdzięczał, powiedzieliby można, raczej szczęśliwemu usposobieniu osobistemu, niżli owęj, od skłonności przypadkowych niezależnej, szerokiej podstawie religijnej, z której ta miłość i te cnoty najpewniej wykwitają, w niej też najbezpieczniejszą i najsilniejszą znajdując podporę. Nie był on także całkiem wolny od tak zresztą naturalnych, zawsze jednak niepocieszających niechęci osobistych, które płyną zwykły z uprzedzeń stanu, wychowania, towarzystwa lub stronictwa. Współczesnik drugiej znamienitości wielkopolskiej, Edwarda hr. Raczyńskiego, żył z nim jeśli nie w poróżnieniu, to przynajmniej na bardzo zimnej stopie, upatrując, słusznie czy niesłusznie, przebijającą próżność i dumę pańską w najpożyteczniejszych dla popolitej rzeczy przedsięwzięciach tego magnata. Kiedy w r. 1845 rada miejska obradowała nad ofiarą 20,000 talarów, uczynioną przez hr. Raczyńskiego na rzecz założyc się mającej szkoły realnej w Poznaniu, niepomału się Marcinkowski przyczynił do odrzucenia położonych przez darodawcę warunków, w następstwie czego ofiara cofniętą została. W zajściu tém i on sam i przyjaciele jego zasadniczą tylko upatrywali walkę; bezstronni jednak twierdzą, jak się zdaje nie bez pewnej słuszności, że w tym tu przypadku wewnętrzna niechęć osobista, być może mimowiednie, przyodziała się w katoński płaszcz nieugiętej zasady. Co także Marcinkowskiemu wielorako zarzucano, mianowicie pod koniec jego żywota, to wyniosłość naprzeciw tym, których mało cenił sędził mieć prawo, niecierpliwą bezwzględność dla opinij i usiłowań odmiennych, słowem zbyt despotyczne władanie moralną dyktaturą, jaka mu się dostała w podziale

Chcąc jakośkolwiek wyczerpujący skręślić obraz działania i wpływu Marcinkowskiego, należałoby odróżnić przedewszystkiém jego zawód medyczny od obywatelskiego. Obrazu takiego za ledwie zarys dać tu podobna; a nawet, pozostawiając właściwsiemu pióru wykazanie tego co działał na polu sztuki lekarskiej, zatrzymamy się chwilę nad tém tylko, co zrobił jako człowiek i obywatel.

Mimo wszystkie utyskiwania idealnych marzycieli, coby chcieli w mężu publicznym mieć jakąś od wpływów ludzkich oderwaną i doskonałą istotę, każdy niemal mąż taki bywa dzieckiem swego stanu, kraju i czasu. Marcinkowski nie stanowił w tej mierze wyjątku. Zrodzony wśród mieszczaństwa, w czasie i miejscu gdzie stan miejski, tyle dla zdrowego organizmu każdej popolitej rzeczy ważny i niezbędny, był wielorako jeszcze upośledzonym, albo też obcemu tylko przekazanym żywiołowi, wytknął on sobie za jedno z naczelnych usiłowań swoich, żeby go w rodzinnej prowincyi podnieść i ukrzepić, a gdzie wcale nie było, żeby go stworzyć. Jeśli pierwszy popęd, podobnie jak u Staszica, do rodzinnych da się odnieść stosunków, to niezmordowane całego życia zabiegi w tym kierunku oparły się niewątpliwie u jednego i drugiego na dojrzałym, gorącym i szerokim rzeczy krajowej objęciu. Zrozumiał Staszic, zrozumiał i Marcinkowski, że w odmiennych zupełnie dawniej Polski stosunkach, w kraju przedewszystkiém rycerskim, a o zatrudnieniu rolniczym, pośredni stan między możnymi panami a ludem wiejskim, stanowił gmin rycerski, czyli owa tak liczna wtedy u nas, popolita i drobna szlachta wiejska; właściwe zaś mieszczaństwo, w dzisiejszym rozumieniu, było jakoby pominięte w składzie ojczystej społeczności; sztuki, handel, przemysł, rzemiosła porzucono na wolę przybyszów, odrębną niejako składającą społeczność wśród rzeczypospolitej. W biegu dziejów wszelako rzeczy z gruntu się przemieniły. Dawny stan pośredni zniknął, nie mając już zresztą historycznej racy bytu; z drugiej strony okazało się, że w dzisiejszych organizmach publicznych nie mo-

(*) Maciej hrabia Mielżyński.

(Przyp. redak.)

zna już bezkarnie porzucać całego wielkiego działu życia rzeczypospolitej, obcym zupełnie pierwiastkom; społeczności narodowej, jeśli ma czerstwo żyć i rozwijać się, na żadnym żywotnym zbywać nie powinno organie ni członku, a mieć je winna swoje własne. Trzeba tedy stanąć średniego, trzeba miejskiego; niechże jeden będzie drugim zarazem. Taki ciąg myśli zaprzętał Staszica; taki ciąg myśli był podstawą głównego działania Marcinkowskiego. Jeśli się postawi obok tego wszystko co Marcinkowski zrobił w każdym innym także kierunku, gdzie tylko o chwałę lub pożytek ojczyzny w ogóle chodziło, jeśli się doda wreszcie wszystko co zdziałał, niezgaszoną i najczystsza miłością bliźniego ciągle podżegany, będzie się miało mniej więcej wyczerpujący obraz obywatelskiego i człowieczego jego żywota.

Wyliczać wszystkich szczegółów ani w tym miejscu podobna, ani pamięć starczy. Najwybitniejsze, lub które właśnie zwodniej przytomne są pamięci, niech tu znajdą miejsce.

Trzeba było przedewszystkiemu odosobnione, wątle i pod naciskiem potężnego współzawodnictwa upadające żywioły polskiego handlu, przemysłu i rzemiosła, ześrodkować, we własnych podnieść oczach, dodać im otuchy i uprzytomnić ich istnienie rodakom. Powstał więc z pomysłu i za staraniem Marcinkowskiego tak zwany Bazar w Poznaniu: wielki i ozdobny gmach, wzniesiony na jednej z głównych ulic funduszem obywatelskim. W licznych parterowych lokalach mieszczą się polscy wyłącznie kupcy i rzemieślnicy, reszta budynku na wzorowy polski hotel przeznaczona. Kiedy w r. 1841 gmach ten stanął i hotel otwarto, żony wyższych urzędników miejscowych i różne znaczące osoby, nieco złośliwą wiedziono ciekawością, przychodziły do stołu gościnnego, dla przekonania się, czyto w istocie podobna, ażeby przedsięwzięcie polskie, a mianowicie hotel przez Polaków założony i prowadzony, bezładnym nie był zbiorowiskiem brudów, nieporządku i zamętu powszechnego. Ciekawi ci badacze, rachujący na śmieszne niespodzianki i zabawne cudactwa, zawiedli się najzupełniej w oczekiwaniu swoim.

Ale nietylko martwych murów dla polskiego handlu i przemysłu, trzeba było także dla całej prowincji ludzi uzdolnionych, pracowitych, nauką wykształconych, którzyby różne stanowiska w szkole, kościele, urzędzie, przemyśle, w radzie i czynnie zajmować odpowiednio umieli. Długie doświadczenie uczyło, że rzadko kiedy młodzieniec z rodziny zamożniejszej i obyczajem uprzywilejowanej, obierał sobie twarde zawód sumiennej pracy na polu nauki; wolał on pospolicie lekko używać darów bez trudu sobie przypadłych. A przecież pracą, oświatą i poświęceniem pospolite rzeczy stoją. Stworzył więc Marcinkowski niezapomniane towarzystwo naukowej pomocy, które zyskawszy zatwierdzenie rządowe, po dziś dzień istnieje i od lat dwudziestu niemało już błogich wydało owoców. Towarzystwo to opiera się na dobrowolnych składkach członków, po całej rozrzuconych prowincji; a umiał założyciel do czynnego zachęcić lub nawet znaglić udziału. Wybieralna dyrekcja główna zasiada w Poznaniu; po wszystkich powiatach są komitety, które zbierają składki, wyszukują zdolną a ubogą młodzież, z włościańskiego mianowicie i miejskiego stanu, i polecają dyrekcji. Dyrekcja rozstrzyga komu i w jakiej mierze udzielić wsparcia na rozpoczęcie, prowadzenie i kończenie nauk. Dochód towarzystwa wynosi około 60,000 złp. rocznie. Celem towarzystwa jest, przez wspieranie ubogiej młodzieży w naukach, rozpowszechnić oświatę i przysposabiać użytecznych krajowi obywateli. Parę tysięcy takiej młodzieży polskiej odebrało po dziś dzień wsparcie od tego towarzystwa, i w każdym niemal zawodzie życia, wyższego wymagającym wykształcenia, spotkasz wychowanków tej instytucji, której cała zasługa Marcinkowskiemu się należy.

Nie było w Poznaniu wśród społeczności polskiej towarzyskiego życia, które wpływa tak przeważnie na obyczaj, opinią publiczną i podtrzymanie zbiorowego ducha. Stworzył więc polskie kasyno, rodzaj resursy, gdzie miejscy i wiejscy obywatele we wspólnym łączą się ognisku towarzyskim. Czuć się dawał brak stałej sceny ojczyzny, która, obok szlachetnej rozrywki, kształci zmysł piękną, utrzymuje w masach tradycją nieskażoną mowy rodzinnej i wielorako oddziaływała na obyczaj. Nie szczędził więc zabie-

gów około założenia polskiego teatru; zewnętrzne tylko okoliczności chwilowe, a potem śmierć jego, nie pozwoliły usiłowań tych doprowadzić do końca. Nie było akademii ani wyższej szkoły, gdzieby z katedr publicznych ogólniejsze i wyższe nauki, w ojczystym wykładane języku, po kraju promieniały. Zorganizował więc w Poznaniu różne publiczne odczyty, jużto historyczne, jużto z dziedziny nauk społecznych i przyrodzonych, a dla ich wzmocnienia powołał do Wielkopolski Trentowskiego. Rada reprezentantów miasta Poznania z samych niemieckich składała się żywiołów. Wprowadził więc i siebie i innych rodaków swoich do tej rady. Świetna mowa, którą w łonie reprezentacji miasta w r. 1846 powiedział, zaświadczyć może o sposobie w jaki swoje stanowisko reprezentanta pojmował i o tegoż charakteru zjawką publiczny ten obowiązek spełniał. Mowa ta ogromne sprawiła wrażenie i pamiętną będzie w dziejach rodzinnego jego miasta.

Nie skończylibyśmy, chcąc tu wszystko spisywać, co zrobił dla oświaty przez osobiste zachęcanie i wspomaganie pracowitej młodzieży, przez troskę nieustanną o szkoły i stypendya; co zdziałał dla ulżenia nędzy społecznej przez zawiązanie towarzystwa ku wspieraniu ubogich i cierpiących, przez fundacje na rzecz szpitala siostr miłosierdzia i wylaną dla tego dobroczynnego zakładu pieczołowitość, przez setne wreszcie inne czyny i zabiegi swoje. Dość powtórzyć, że był ogniskiem, z którego wychodziło lub w którym się zbierało wszystko niemal, co się przez ciąg lat kilkunastu działo pocziwego, wzniosłego i pożytecznego w Poznańskim.

Tak różnostronną i bezustanną pochłaniany czynnością, nie miał on wczasu do prac naukowych i literackich, jakkolwiek jasny i bystry umysł, nauką wytrawiony, szczególnie go do tego usposabiał. Prócz rozprawy doktorskiej: *De fontibus indicationum generatis*, mamy jedną tylko jeszcze, osobno wydaną pracę Marcinkowskiego: *Uwagi nad historią i naturą koltuna*, Kraków, 1836. Drobniejsze jego rozprawy, rozrzucone po niemieckich czasopismach lekarskich, wylicza L. Gąsiorowski w swoim *Zbiorze wiadomości*.

Takim był mąż, około którego przez lat kilkanaście ześrodkowywało się życie Wielkopolski, który nie przestanie być chlubą nietylko prowincji, ale narodu całego, a którego żywot, oby był przykładem i nauką dla innych.

Władysław Bentkowski.

Kronika tygodniowa.

Minął tydzień wróżbiarstwa i snów proroczych; za św. Katarzyną i św. Andrzejem pociągnął cały szereg obłubieńców i obłubienic, których los pokryty jeszcze niepewną przyszłości zasłoną. Gdyby chcieć na prawdę zbadać, jaką rolę grają w tych dniach, a raczej w tych wieczorach i nocach, wosk, ołów, świeczki i zwierciadła, nie uwierzonoby zapewne rezultatowi. A jednak rzeczą jest nieulegającą zaprzeczeniu, że w naturze naszego narodu mistycyzm przeważną gra rolę. Do tych nieokreślonych dążeń, marzeń i rojeń, do tych snów, w których nieraz więcej się znajdzie fantazyi, aniżeli w najfantastyczniejszych utworach poetyckich, Polacy czują nieprzewyciężony pociąg, i był czas kiedy na Zachodzie za pewnik prawie uważano, że każdy Polak, najoświecieńszy nawet, musi być mistykiem. Więc też w swoim czasie wpływ wolteryanizmu, chociaż przeważny, mniej silnym był przecie u nas, aniżeli gdzieindziej; bo naród, co najpiękniejszą poezją chrześcijaństwa wcielił w swoje życie, nie mógł tak bezwarunkowo poddać się ogólnemu przeczeniu, którego wolteryanizm najdotkliwiej stał się wyrazem. Ale z drugiej strony wiara, górując nad rozumem i wyrachowaniem, odrywając się tu i owdzie od czysto chrześcijańskiego kierunku, ma także swoje obłądki. Widzieliśmy to po zboczeniach najznakomitszych nieraz inteligencji u nas. Więc się nie dziwić, że w narodzie naszym, pomimo epoki w której żyjemy, a może i skutkiem tej epoki, pociąg do mistycyzmu tkwi jeszcze w całej sile swojej. Nie śmiejmy się z zabobonów drugich, bo kto wie jak inni nazwą to, co my uważamy za

niewzruszone przekonania nasze. A zresztą zabobon jest nazwą tak względną...

Zabobony, mówi jeden z najznamienitszych tegoczesnych mistyków, są to formy, które przeżyły zatracone już idee. Wszystkie one miały za powód istnienia jakąś prawdę, której już nie znamy, albo która się już przekształciła. Sama ich nazwa łacińska *superstitio* to tłumaczy, pochodzi ona bowiem od *superstes*, to co przeżyło dawne swoje istnienie.

To przywiązanie się społeczeństw do form dawnych zrozumiał doskonale święty Grzegorz, jeden z najznamienitszych ojców kościoła. „Oczyszczajcie świątynie, pisał on do swoich misjonarzy, ale nie burzcie ich; bo kiedy naród zobaczy istniejące w całości te dawne swoje przybytki modlitwy, będzie tam chodził z przyzwyczajenia, i tym sposobem łatwiej da się nakłonić do uznania prawdziwego Boga.“

Wielkie i mądre zdanie, na które później niedość zwracano uwagi. Piątek na przykład, dzień który połowa niemal naszego narodu uważa za złowróżbny, był dniem poświęconym Wenerze, i z tego powodu starożytni smutne do niego znaczenie przywiązywali, bo przypominał on tajemnice narodzenia się i śmierci, zawsze w cyklu mistycznym połączonych z sobą. Toż samo da się powiedzieć o liczbie trzynastcie. Zdrada i odstępstwo Judasza, oraz wygubienie pokolenia Benjamina, z powodu rozdzielania się rodu Józefa na dwa pokolenia, są w części powodami wstępu do tej liczby.

Pod pewnym względem jesteśmy równie zabobonni jak Rzymianie, u których wszystko było przepowiednią. Kamień o który noga się zawadziła, odezwanie się puszczyka, szczenie lub wycie psa, naczynie stłuczone, stara kobieta co przebiegła drogę, zwierzę, które się na niej spotkało, na przykład zając, wszystkie te próżne strachy brały początek w nauce wróżbiarstwa, fałszywej zapewne w swych zastosowaniach, ale nieraz ze skutków niespostrzeżonych przez ogół, wyciągającej przyczyny wiążące się ze sobą. Wróżbitom na przykład rzymskim wiadomym dobrze było, że wpływy atmosferyczne, które powodują wycie psa, szkodliwymi są w niektórych słabościach, że kruki w locie swoim szukają śladów krwi, a więc posłużyć mogą do wykrycia morderstwa. Z przelotu niektórych wędrownych ptaków można wyciągać wróżby o tegoż zimy; inne znów ptaki krzykami swoimi na morzu dają znać o zbliżającej się burzy. To co nauka potrafi rozeznaczyć i zrozumieć, uogólnionem jest i zaciemnionem przez nieuctwo. Pierwsza znajduje wszędzie pożyteczne ostrzeżenia, drugie niepokoi się wszystkiemu i samo siebie straszy.

Nie wysmiewajmy się więc tak bardzo z zabobonów. Któż wie czem one były dawniej, a na co przekształciliśmy je obecnie? W każdym razie, jako na pozostałość po przodkach i źródło zwyczajów niektórych, zwracać na nie należy uwagę. I może do brzeby było, żeby kto te wszystkie ślady minionej przeszłości zebrał, opisał i w jedno połączył dzieło.

Co bądź, nie wdając się w to, jakie św. Katarzyna i św. Andrzej wróżby przynieśli, tyle zawsze pewna, że w przeszłym miesiącu mnóstwo odbyło się ślubów. W znaczniejszych parafiach, jak na przykład w świętokrzyżkiej, ruch był znaczny. To zawsze znamionuje wzrastającą niejako zamożność miejscą, bo zwiększająca się liczba związków małżeńskich pomiędzy niższą klasą najlepszą jej miarę stanowi.

Wykłady w resursie kupieckiej trwają ciągle i liczną zwabiają publiczność. Jeden z tych co pierwsi podali myśl zaprowadzenia tych wykładów, pan Prądmowski, rozpoczął niedawno prelekcje fizyki w akademii medycznej. Zajęcie jakie potrafił wzbudzić nawet po tak cenionych niegdyś prelekcjach pana Przystańskiego, samo już jest dlań dobrą wróżbą na przyszłość. Na tę tak ważną instytucją uwaga ogółu bezprzestannie jest zwróconą, i najdrobniejszy fakt dopomagający do jej rozwinięcia, znajduje współczucie w takich nawet, co zdawaliby się zupełnie obcymi jej istnieniu. Bo też cóż może więcej obchodzić myślący ogół, jak kształcenie się młodzieży naszej?

W jednym z pism codziennych czytaliśmy niedawno uzalenia na brak krytyki u nas. Głosy podobne nieraz już słyszeć się dawały, i my niedawno nawet parę słów o tym powiedzieliśmy; tylko inaczej zupełnie rzecz tę pojmujemy. Nietyle na brak krytyków żalić nam się wypada, ile na brak wpływu, jaki su-

mienna krytyka wywierać może, a raczej na nieprzygotowanie ogółu do takiej krytyki.

Nie krytyków, ale publiczność czytającą winić należy, bo ta za każdą szczerze wypowiedzianą prawdą sądzi, że się sprawę ojczystą podkopuje. W tymże artykule czytamy uzalenie, że dotąd głucho tutaj o poemacie Deotymy *Polska w pieśni*, kiedy w Tygodniku Ilustrowanym wyszedł niedawno rozbiór tego poematu.

W teatrze Wielkim odbywają się obecnie próby jednoaktowej opery *Verbum nobile*, muzyka Moniuszki, libretto Chęcińskiego, której pierwsze przedstawienie na Nowy rok zapowiadają, oraz znaną już u nas operę *Hajdei*. Pan Quattrini przygotowuje *Orfeusza w piekle*, w przekładzie L. Matuszyńskiego, z muzyką Offenbacha. Łucznik Otton, opera 5cio-aktowa z muzyką Müncheimera, także ma być przedstawioną. P. Bodurkiewicz pracuje nad rolą krajcego, którą obejmuje po Rychterze w tragedji List żelazny. Za to w teatrze Rozmaitości żadnego ruchu, i niewiadomo nawet co będzie przedstawione przy rozpoczęciu widowisk. A szkoda. Teatr Rozmaitości miałby najwięcej u nas do czynienia, gdyby nie trudności przewidziane, jakie spotykają tam każdego reżysera z których trzech w krótkim czasie nastąpiło po sobie. Nam się zdaje, że z jednej strony trochę energii, z drugiej trochę dobrej woli, a rzeczy mogłyby pójść pomyślnie. Tylko u nas tę dobrą wolę w jednostronnym trochę znaczeniu uważają. Powiedziano jest bowiem: ludziom dobrej woli pokój. Więc ci którzy się sądzą ludźmi dobrej woli, u nas przedewszystkiem żądają żeby ich spokój niczem nie był zakłócany i zasypiają sobie błogo na laurach, a nawet czasem zgoła bez laurów.

Jeśli prawdę chcecie wiedzieć,
Lepiej siedzieć niżli stać;
Lepiej leżeć niżli siedzieć,
Niżli leżeć lepiej spać.

Dobra jest bardzo ta zasada Saadego, ale dla wschodnich narodów; my powinniśmy być trochę ruchliwsi.

O przedstawieniach w teatrze Dobroczyńności możemy już donieść trochę więcej szczegółów. Będzie tam grany *Nowy teatr*, to jest wyjątki ze sztuk już znanych, wraz ze scenami umyślnie *ad hoc* przez uproszonych autorów napisanemi, połączone w jedną całość. Najlepsze to podobno przedstawienie dla amatorskiego teatru, bo każdy będzie mógł sobie wybrać rolę, które najwięcej do jego usposobienia przypadają. Również w mieście Żychlinie, w Gostyńskim, szykuje się teatr amatorski na wybudowanie tamże szpitala. Mają grać *Zemstę* Fredry; już podobno wszystkie role obsadzone i w grudniu przedstawienie przyjdzie do skutku.

Pora obecna najmniej sprzyja zdrowiu. Sam nawet Tygodnik lekarski zdaje się o tym przekonywać, twierdząc że w bieżącym miesiącu liczba chorych pomnożyła się w mieście naszym. Nie dziw więc, że każdy prawie tydzień przynosi znaczny plon śmierci, która ofiary swoje wybiera pomiędzy ludźmi więcej niż kółko prywatne obchodzącymi. W obecnym tygodniu oplakiwać nam należy zgon Ignacego Gierdziejewskiego, młodego i utalentowanego malarza, który przed kilku zaledwie miesiącami wrócił do nas z Rzymu, już z zarodem śmiertelnej choroby. Gierdziejewski z wieku i pracy należał do tego kółka zdolnych artystów, którzy jednocześnie prawie opuścili szkołę sztuk pięknych i których nazwiska (Gerson, Kostrzewski, Pillati) pomiędzy najsympatyczniejsze u nas obecnie zaliczają się. Dziwny to był talent, najpłodniejszy może w pomysły ze wszystkich pracujących tu w sztuce, najmniej jednak dzieł ukończonych po sobie zostawił. Myśli tłumnie cisnęły mu się do głowy, jedna nurtowała drugą, a żadna nie miała czasu dojrzeć i swobodnie rozsiać się na płótnie. A te myśli zadziwiałą fantazją i jakimś marzącym usposobieniem, które mu najczęściej kazało wybierać przedmioty wzięte ze świata urojeń. I zaledwie rzucił szkic na papier, drugi gonił tuż za nim i kazał mu o tamtym zapeminać. Gdyby miało być wykończone to wszystko, co Gierdziejewski poznał rysami szybkiej i płodnej wyobraźni swojej, starczyłoby to na pracę całego życia dla kilku zdolnych malarzy. I tym bardziej godnym to uwagi, że u nas właśnie pomysłu brak najczęściej, o wykonanie łatwiej.

A nietylko z ołówkiem w rękę umiał on myśleć swoją zręcznie i dobitnie wyrażać. Korrespondencje jego z Rzymu, w jednym z pism tutejszych codziennych umieszczane, trafnością sądu i umiejętnym opi-

sywaniem miejscowości zwracały na siebie uwagę czytelników. W sądach o sztuce nieraz kilką wyrazami wyborne dawał wyobrażenie o ocenianém dziele.

Szkoda Gierdziejewskiego, niepospolity to był talent i inteligencja niemała. Dwa te przymioty nie zawsze idą w parze; tém większy żal jeżeli nie wydadzą dojrziałych owoców, jakich po nich spodziewać się można było.

Czytelnikom, którzyby chcieli bez zadania sobie wielkiego trudu rozweselić się, radzimy żeby przejechali czasami ogłoszenia w gazetach. Jakie też tam dziwne nieraz popisane rzeczy. Oto naprzykład od kilku tygodni codziennie prawie mamy ogłaszane *prelekcje wyższej magii* w ogródku Tivoli. Dziwny tytuł, nieprawdaż? ale do jakichże śmiesznych doprowadza on rezultatów! Prelekcje te wyklada pan Royer, znany już tu zkadinał jako bardzo zręczny predyktor. Nie uwłaczamy wcale jego zdolnościom sztukmistrzowskim, ale jeżeli widowiska przedstawiane przezeń mamy uważać za prelekcje, to publiczność uczy się tam chyba zręcznie eskamotować różne przedmioty, pić wino, nie dostając się nigdy do dna butelki i t. d. Spodziewam się że to dobra i pożyteczna nauka i że niemało znajdzie lubowników.

Zarty na bok, lecz iluż to innego rodzaju eskamotorów spotkać można w Warszawie. Czyliż braknie tu ludzi żyjących o cudzym koszcie, a żyjących dobrze, świetnie, nawet nieodmawiających sobie żadnych wygod, żadnych wykwintności, żadnych zbytków. Majątek własny, jeżeli mieli go kiedy, utracili już oni dawno; zdawałoby się że każdy z nich powinienby się skryć w myszą jamę i unikać świata w którym żyć przyzwyczajony, a do którego przystęp niemożność finansowa zamykać już się mu zdaje. Gdzież tam? Prawdziwie świetne ich istnienie zaczyna się wtedy właśnie, kiedy ostatniego rubla wydadzą już z kieszeni, kiedy im się nic oprócz długów nie pozostanie. Wówczas rośnie w nich dowcip, podwaja się przemyślność, pewność siebie do najwyższego dochodzi stopnia. Żyją na stopie ludzi którzy kilkadziesiąt tysięcy dochodu rocznego posiadają. I rzeczywiście mają oni ten dochód, bo użytkują z niego. A co dziwniejsza, że w mieście pod względem kredytowym tak mało rozwiniętym jak Warszawa, ci właśnie ludzie znajdują kredyt łatwiejszy i większy od innych. Tacy nie potrzebują pewnie uczęszczać na prelekcje wyższej magii, lepszymi oni bowiem są magikami, aniżeli sam docent.

Bardzo to dobrze, że towarzystwo oświecenia gazem w mieście naszym oszczędza sobie pracy i materiału podczas dni księżycowych, zwłaszcza jeżeli je do tego kontrakt z miastem zrobiony upoważnia. Ależ wartoby żeby towarzystwo to zrobiło z księżycem drugi kontrakt, któryby zmusił tego satelitę naszej ziemi do świecenia w czasie przez ustawę kalendarzową mu oznaczonym. W zeszłym tygodniu naprzykład jedna no: była ciemna, choć oko wykół, przechodnie musieli po omacku szukać drogi po chodnikach, rozbijali się jedni o drugich, a gaz spuszczał się na księżyc, księżyc zaś na gaz, i z tego wyniknęło, że miasto nasze podobne było do jakichś ciemnych, szczelnie zamkniętych podziemi. Jeżeli idzie koniecznie o powrót arkadyjskiego obyczaju gier niewinnych i o granie w ślepą babkę po ulicach, to już lepiej to i wygodniej w mieszkaniach uczynić.

Podobno dodatek do Czasu przestaje wychodzić na rok przyszły. Pismo to kilka razy już odzywało się do sympaty publiczności i nakładca z własną stratą starał się je utrzymać, bacząc na potrzebę pism literackich jaka się czuć daje. Ale usiłowania te i odezwy, jak zresztą wiele innych, pozostały bez skutku; a że wszelkie poświęcenia muszą mieć swój kres, dodatek dalej wychodzić nie może. Szkoda, wielka szkoda! Może ta strata jednego pisma, stanie się większym bodźcem do utrzymania innych, boć i u nas wiadomo, że rzadko które wydawnictwo potrafi się ostać o własnych siłach; na dochód bowiem z prenumeratorów trudno rachować i niezawsze on dopisuje. Najlepszy mamy tego dowód na Bibliotece Warszawskiej, która zbyt szczupłe kółko czytelników posiada, w stosunku do swojej wartości i ciągłych starań redakcyi. I rzeczywiście, dziwić się wypada wytrwałości z jaką piękna i użyteczna ta publikacya od tylu lat jest prowadzoną, postępując ciągle na drodze ulepszeń.

O ŁYKA.

Mnie wszystko tak mile, co swojskie, co nasze,
I ludzie mi drodzy i mili.

Teofil Lenartowicz.

Miasto Ołyka, z trzema łączącymi się z niem przedmieściami: Turczynem, Zalesoczem i Miłowicą, leży przy ujściu Miłowiczki do Putylówki, prawie pośrodku między trzema powiatowymi miastami: Równem, Dubnem i Łuckiem, w powiecie dubieńskim. Jadąc ze strony Równego, zdala widok miasta zachwycający. Wspaniałe kościół, zamek i ratusz, bielutka cerkiew; tu i owdzie schludne, sadami ubarwione domki mieszczan; srebrzyste powierzchnie spokojnie drzemających stawów; wzgórci, a pomiędzy niemi wijące się rzeczki, uroczy stanowią widok.

W miarę zbliżania się do miasta i urok znika. Zestarzała brama z herbem Radziwiłłów wychodzi na spotkanie, jakby w deputacji od miasta, użalając się na jego nędzę. Stare czerniałe zamczysko, strzelwsky wieżycą w górę, dźwiga na jej ramionach zaspionego orła Radziwiłłów. Biędny! uległ zniszczeniu, utracił jedno skrzydło. Tuż u pndóza zamkowych wałów płynie czysta i szeroka rzeczka, zawsze ta sama, wesoła, hoża, jakby urągająca jego niedoli; lecz on hardy kryje się w swoich okopach. A oto już wyglądają i młodszy bracia zamku, kościół i ratusz; jakże je czas zmienił, chociaż zawsze wspaniałe!

Dziwne to upodobanie tych ludzi: ukolorowali najrozmaitszemi barwami posągi stojące we framugach frontonu kościoła! Pstroczyna ta wcale się nie zgadza ze wspaniałą budową kościoła, upiękzonego wewnątrz i zewnątrz kosztownemi marmurami.

Ratusz, kilką laty młodszy od kościoła, więcej się jeszcze postarzał powierzchownie; sala sessyjna na najwyższym piętrze bez dachu, a ostatki niedogorzonych wiązań grożą ciekawemu gościowi. Jedna część jego w ruinach, a za lat kilka pewno i cała budowa runie.

Prócz tych pamiątek świetnego stanu miasta, nie znajdziesz tu nic, nawet porządnego domu zajezdowego; wszędzie żydostwo brudne i biędne, jak po małych miasteczkach.

Tu widzisz jakby cichą walkę Polesia z Wołyniem. Wody, szum sadów, małe pogarbione lepianki plemion Izraela, przypominają Polesie; ale walka nierówna, wołyńskie żywioły przeważają, a las czarny zdala ukazuje się, jak nowy hufiec, pospieszający na pomoc swoim upadającym współbraciom.

Przejdźmy teraz do historii miasta. Ołyka najprzód była w posiadaniu Kisków. Około roku 1513 Anna, córka Stanisława z Ciechanowca Kiszki marsz. w. k. l., wychodząc za Jana Radziwiłła Brodatego, wniosła mu w posagu Nieśwież, Ołykę i Lachwę. Syn Jana Brodatego i Anny, Jan Radziwiłł krączy litewski, pierwszy począł się pisać (1544 r.) na Ołyce. Brat jego Mikołaj, Czarnym zwany, uzyskał od cesarza Karola V tytuł księcia na Nieświeżu, Ołyce i Klecku, który to tytuł zatwierdzony został przez Zygmunta Augusta 1549 r. Mikołaj to założył w Ołyce zamek obronny (1564 r.). Będąc sam kalwinem, podtrzymywał nową naukę w istniejącym już od roku 1450 kościele św. Piotra. Synowie Mikołaja, Mikołaj Krzysztof Sierotka, (który założył w Ołyce fundusz na wyposażenie sierot, co święcie było wypełnianem do czasu odebrania kościołowi dóbr ziemskich) Stanisław i Albert, uchwałą sejmu 1589 roku otrzymali zatwierdzenie na fundacyą ordynacyi w Nieświeżu, Ołyce i Klecku. Stanisław Radziwiłł, marsz. w. l. był pierwszym ordynatem ołyckim. Wyrzekłszy się protestantyzmu, za namową jezuitów, a mianowicie Piotra Skargi, oddał wnet na zawsze duchowieństwu kalwińskie z Ołyki, a uznawszy potrzebę, pomnożył liczbę katolickich księży i na utrzymanie ich stosownie przeznaczył fundusze. Syn jego, Albert Stanisław Radziwiłł, kanc. w. k. l., uzyskawszy zezwolenie papieża Urbana VIII, założył murowany kościół św. Piotra, kolegiatę i szpital w Ołyce r. 1685. Kościół ten, pod nazwą św. Trójcy, ukończony r. 1640, został poświęcony przez biskupa łuckiego Andrzeja Gębickiego. Budowa gmachu odbyła się pod dozorem architekta Jana Meliverna, a rzeźba, pod dozorem Melchiora Ampeli ze Lwowa. Tenże książę roku 1638 założył tak zwaną akademią i seminaryum przy ołyckiej kolegiacie. Roku 1838 budynki w których mieściły się te zakłady zawały się; ale semi-

naryum odbudowano kosztem księży, akademią zaś kosztem mieszkańców, i ta istniała aż do r. 1846, pod nazwą parafialnej szkółki.

Książę Stanisław, nie przestając na założeniu i upiększeniu kolegiaty, bogato uposażył ją dobrami; nadto ofiarował wiele srebrnych i złotych rzeczy do obrzędów religijnych należących; upiększył miasto i obwiodł ziemnym wałem, w którym zrobiono dwie murowane bramy z herbami Radziwiłłów i kilka w różnych jego miejscach strzelnic.

Zamek obronny, mocno zbudowany w kwadrat wewnątrz, przedstawia z jednej strony trzy, a z trzech innych dwa piętra; zewnątrz zaś piętro dolne szczelnie otacza sypany wał; dalej ściana

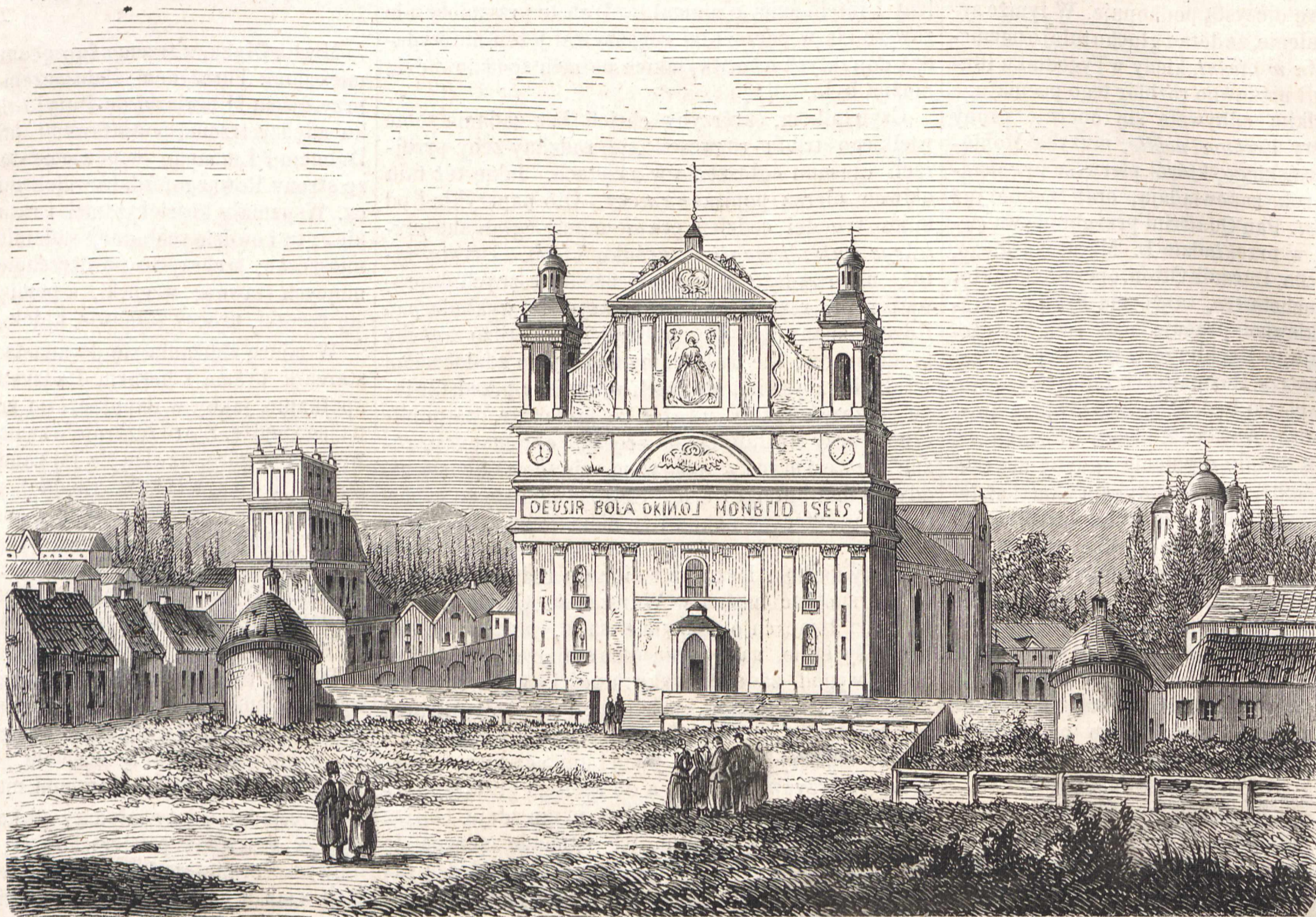
murowana, u dołu okopana fossą napelnioną wodą. Po rogach zamku stały o dwóch piętrach bastiony,

(z nich dwa w ruinach) z okrągłymi strzelnicami. Na obszerny dziedziniec zamkowy prowadzą dwie bramy, z tych brama ze strony Turczyna z wieżą, na

Pomimo dość obronny, na owe czasy, stan miasta, było ono zrabowane i spalone przez Kozaków Chmielnickiego (1648 roku). Powtórnie 1651 r. ciż Kozacy

w liczbie 18000 oblegli je, domagając się okupu. Dowodzący załogą Lasocki po 3-dniowym oblężeniu zmusił ich do odwrotu.

Prócz tego w archiwach kościelnych jest wzmianka o napadzie Tatarów, których często mieszało z Turkami (zjad zapewne nazwa Turczyn) i o napadzie Szwedów około r. 1702. Książę Stanisław umarł r. 1656; pochowany w kolegiackim kościele, gdzie oprócz tego są groby: Maryi Myszcanki, córki Mikołaja Myszki kasztelana wołyńskiego, żony Stanisława Radziwiłła, zmar. 1600 r.; Mikołaja Krzy-



WIDOK MIASTA OLYKI.

której orzeł Radziwiłłów. W zamku aż do 1793 r. była zawsze załoga książęca i działa.

sztofa Radziwiłła, syna ks. Stanisława i Maryi Myszcanki, zm. 1614 roku; braci małoletnich Mikołaja



KOŚCIÓŁ I KLASZTOR ŚW. KATARZYNY POD ŁYSĄ GÓRĄ.

Stanisława i Jerzego; pierwszej żony Stanisława Alberta, Reginy von Eizenreich, zm. 1637 i drugiej jego żony Krystyny Anny księżniczki Lubomirskiej, córki Stanisława ks. Lubomirskiego.

Drogim klejnotem Ołyki, jakim rzadko które może się tu poszczycić miasteczko, jest prawo magdeburskie, nadane mu przez ks. Mikołaja Radziwiłła 1564 roku. Przywilej ten, równie jak przywilej na jarmarki, został potwierdzony przez Zygmunta Augusta, Zygmunta III, Władysława IV i trwa do dziś dnia, na zasadzie praw rosyjskiego państwa.

Ołyka po śmierci ks. Alberta Radziwiłła spadła na ks. Michała Kazimirza Radziwiłła, ordynata nieświeżskiego, i do dziś dnia obie ordynacje są połączone.

Ostatnim z książąt w prostej linii na Ołyce i Nieświeżu był Dominik Radziwiłł, zm. 1803 r. Po nim ordynacje ołycka i nieświeżska spadły na ks. Antoniego, syna Michała Radziwiłła wojewody wileń., z linii ordynatów kleckich. Ten ks. Antoni, mążnek Fryderyki Ludwiki, córki ks. Augusta Ferdynanda pruskiego, umarł r. 1833 wielkorządcą w ks. poznańskiego. Synowie ich, Fryderyk Wilhelm Paweł Mikołaj (ur. 1797), i Fryderyk Ludwik Wilhelm Bogusław (urod. 1809 r.) obaj w służbie pruskiej, są terażniejszymi ordynatami na Nieświeżu i Ołyce.

Smutna to rzecz porównać dawny, tak świetny stan Ołyki, z dzisiejszym nędznym. W zamku, który przetrwał blisko trzy wieki, sufity opadają i wspinały się sale, napęczniały się gruzami; biedni mieszkańcy, po większej części gracyaliści Radziwiłłów, dzielą swe schronienia z puszczykami, których krzyki mimowolną napęczniają trwogą. Ratusz także z każdym rokiem więcej upada; już od kilku lat magistrat miasta zasiada w oddzielnym domu.

Tylko jeden kościół z tych drogiej pamiątek przeszłości, gorliwością kapłanów i parafian ołyckich, w dobrym stanie się utrzymuje, lecz i on jest dalekim od swojej dawniej świetności. Stan samego miasteczka nędzny; to też sprawiedliwie Kraszewski nazwał je ruiną Wołynia. Napały i pożary, osobliwie w latach 1805 i 1833, zupełnie wyniszczyły finansowy stan miasta; handlu prawie żadnego niema, tylko jarmarki cokolwiek je ożywiają. Zresztą zupełna panuje cisza.

KOŚCIÓŁ I KLASZTOR Ś. KATARZYNY

POD ŁYSĄ GÓRĄ.

Większe i mniejsze ofiary, jak kto może, gromadzą się od pewnego czasu na podźwignięcie kościoła

ustronia, spodziewamy się zrobić tęp przysługę licznym ofiarodawcom.

Na sandomierskiej ziemi rozsiadły się Alpy polskie. Gdzie spojrzysz, wszędzie pasma gór, pełne tajemnych zagłębień, harde ciemnym pokryciem borów, strzegące wiekowych pamiątek; wszędzie przed tobą wspaniałe wyniosłości, a nad nimi dwie strażnice wiekowe, dwa górujące punkta, sterczące w oddaleniu od siebie dwóch mil blisko: jeden z nich, to klasztor św.-krzyżki, ważny swym początkiem, groźny straszną walką pogan z chrześcianami, poświęcony krwią męczenników, a drugi, to Łysica, to pałac czarownic, to gruzы zamku zaklętej królowej.

Jadąc groblą, wyrobioną wśród boru, wykarzowanego własnymi rękami oo. bernardynów reguły św. Franciszka, pierwszych zakonników osiadłych u podnóża jednej z wyniosłości św. krzyżkiego łańcucha, nagle witasz śliczny obraz klasztorowego ustronia.

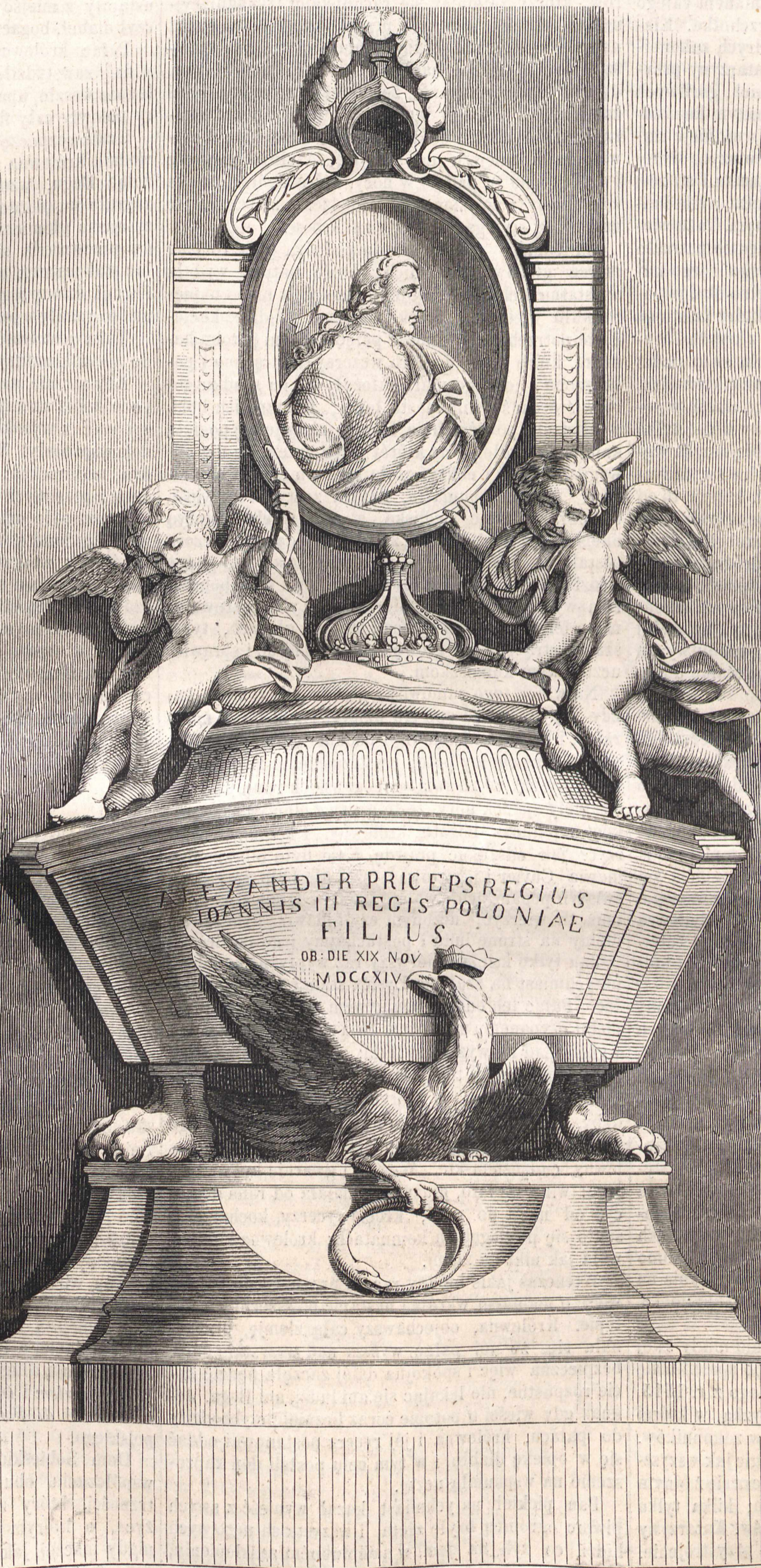
Jeszcze spadek góry św. Katarzyny nie przeszedł w płaszczyznę, a już klasztorne zabudowania usiadły u podnóża Alp naszych, już białe ściany kościółka odbiły się na ciemnej powierzchni łyso-górskich lasów.

Cały klasztor obwiedziony parkanem drewnianym, za którym widać kościółek, mieszkanie księdza kapelana, gospodarskie zabudowania i źródło wody, która płynąc z pod góry, w środku dziedzińca klasztorowego ujęta jest w stałe koryto. Przy samej drodze prowadzącej do grobli, jest wejście do kościółka. Ale kościółek to ubożuchny, choć biały i czysty, jak uczucia pierwotnych fundatorów, gontami kryty, strzela w niebo jedną wieżyczką, nie pretensjonalną, ale zgrabną i prostą, a nad nim żelazny krzyż, co patrzy na lud podgórski.

Na co tu tylko spojrzysz, wszystko cię uspakaja i rozwesela, wszystko tu oddycha szczęśliwą miernością; wszystko, choć ubogie, ale łni skromnością i pokorą. Przed klasztorem jest murywana figura; za nią mała łączka, staw i na nim młynek; dalej krzyż jeden i drugi, w górze cmentarz i kilka martwych głazów.

Tu widok, tu obraz gotowy, godny najdoskonalszego pióra lub pędzla, a nie dodać swego nie

trzeba, cały krajobraz najtroskliwiej wypielegnowany. Te czarne, nieprzejrane masy borów, te ogromne głazy rzucone bez ładu, te ścieżki tajemniczo wijące się po całej powierzchni górzystej, tworzą obrazy pełne uroczystej powagi.



POMNIK ALEKSANDRA SOBIESKIEGO W RZYMIE.

i klasztoru panien bernardynek. Siostry zakonne, kwestując w imię wspólnej wiary, wszędzie doznają współczucia, i można mieć nadzieję że cel ich, staraniem współrodaków, wkrótce osiągniętym zostanie. Dając więc tutaj opis i rysunek tego pięknego

W całym naszym królestwie niema może tak stosownego miejsca na pomieszczenie klasztoru, jak jest dolina św. Katarzyny. Odcięta od całego świata, otoczona lasem i górą, zamknięta sama w sobie, ma wszystko czego potrzeba dla spokoju i wesela człowieka. Cały łańcuch Łysogórski najwyższy swój grzbiet ujęty ma w dwie wyniosłości: św. Krzyż i św. Katarzyna; Łysica zaś jest właściwie mianem całego pasma, a nie żadnego wyłącznego wierzchołka. Klasztor św. krzyżki zbudowany dla mądrych zakonników benedyktyńskich; pod górą św. Katarzyny przylutyl się dom zakonników bernardyńskich, gorliwych sług w sprawach Boga i ludzi. W tamtym kamiennym klasztorze i wspaniałym kościele, widnieje ciągle historyczna duma; wznosi on swe wieżycy wyżej nad wszystkie bory, nad wszystkie miasta i stolice; krzyże jego jaśnieją na kilka mil w około, a siła fundamentów, moc kamienną piersi świątyni, każe wierzyć, że niejedno pokolenie jeszcze będzie patrzyło na wspaniałą fundacyą króla Chrobrego i jego następców. W św. krzyżkiej świątyni pełno śladów potęgi monarszej, pełno pamiątek króla, który piastując jako dary najdroższe drzewo i gwóźdz z krzyża Chrystusa, umarł dręczony przyszłym losem swój ziemi; tu woła ciągle głos męczenników benedyktyńskich, poległych z ręki najezdźników, tu potęga ducha w potęgę ciała! A w zakonie św. Katarzyny widać tylko skromny przytułek dla ubogich a zbłąkanych wędrówców, przepływających się przez góry św. krzyżkie, widać tylko ślady oo. bernardyńskich, którzy tu od początku osadzeni, własną ręką wykarczowali kilka dróg przez góry i lasy, usypali kilka grobel, a dzień i noc czuwali nad bezpieczeństwem podróżnych, często napadanych przez łotrów św. krzyżkich, czynili zaś te wszystkie posługi na wzór braci swych zakonników z góry św. Bernarda. Tu krzyżek na małej wieży nie grozi, lecz tylko namawia do modlitwy; tu wszystkie pamiątki przedstawiają tylko walkę duszy z namiętnościami ciała.

Może i przez pola okalające klasztor pp. bernardynek, pędzili kiedyś król Bolesław z Emerykiem, uganiając się za dzikiem zwierzem; ale kiedy wystrzelił już krzyż na szczycie zachodnim, naokoło góry św. Katarzyny rozciągała się jeszcze nieprzebytą puszcza i drzemała do końca 15 wieku, bo pierwsze światło krzyża ujrzał lud podgórski dopiero w r. 1478. I ten klasztor, wraz z kościołem, wznosił się z kamienia, staraniem i kosztem Jana Rzeszowskiego, biskupa krakowskiego, będącego tylko naśladowcą innych krakowskich biskupów, którzy na całej tutejszej ziemi zostawili pamiątki swego bogactwa i hołdownictwa Bogu.

Jeżeli klasztor św. Katarzyny nie był poświęcony krwią niewinnie zamordowanych zakonników, jeżeli uniknął napadu pierwszych pogan, palących tutejsze bory i knieje, za to wojny szwedzkie dały się mu we znaki. Klasztor wraz ze wszystkimi zabudowaniami gorzał trzykrotnie; ostatnią datą pożaru jest dzień 12 maja 1847 r. Ten pożar zniszczył do szczętu kościół, klasztor i wszystkie zabudowania; lecz wytrzymałość sióstr zakonnych, ze składek wzniosła na nowo świątynię, która w r. 1851 ukończoną została. Mury powstały, ale biblioteki i wszystkich skarbów piśmiennych nikt już nie wskrzesił. Mimo swego ubóstwa, klasztor ten gościnnością słynie na całą okolicę; sióstr zakonnych bywa zwykle do 12, a nowicyat zawsze zapełniony.

Tutejsze pp. bernardyńki poprzednio miały swój klasztor drewniany w Drzewicy, lecz po spaleniu się tegoż, mocą dekretu biskupa kieleckiego z r. 1815, przeniesione zostały w dolinę św. krzyżką, w której zajęły klasztor opuszczony przez ojców zakonników.

Wnętrze kościoła, równie białe i ubogie jak wszystkie zabudowania klasztorne, nie odznacza się żadnym pomnikiem lub ważniejszym napisem; kilka tylko obrazów, jak: Ecce homo i głowa św. Katarzyny w wielkim ołtarzu, stanowi całe jego przystrojenie. A wartoby jednak pomyśleć i o czémś więcej.

Poznawszy, acz pobieżnie, klasztor i jego mieszkanki, spojrzmy na te piętrzące się bory, stańmy na szczycie Łysicy i posłuchajmy gminnych powieści.

Wszędzie tylko wysokie i odwieczne drzewa wskazują strop nieba, wszędzie cichość grobowa zniewala myśl i serce, wszędzie bezdenne przepaście głazowych olbrzymów trwożą oczy nienawykłe do błakania się po takich cmentarzach natury.

Na samym szczycie stoi piramida kamienna, z krzy-

żem żelaznym na wierzchu, osłonięta drewnianym rusztowaniem. Ten jeden przedmiot, wzniesiony z kamienia, jako ważny punkt trygonometryczny, pozwala wspomnieć o ludziach, którzy kiedyś te miejsca przez kilkanaście miesięcy zamieszkiwali. Niedawno, bo przed dwudziestą kilką laty, wznosiły się na tej górze liczne zabudowania, jako mieszkania obserwatorów, którzy zajmując się rachunkami tryangulacyjnymi, obliczali południk przechodzący przez punkt na którym dziś stoi piramida murowana. Lud tutejszy, nie pojmując naukowych zajęć obserwatorów, do dziś jest przekonania, że dlatego tu oni czas jakiś zamieszkiwali, dlatego wpatrywali się w rozmaite narzędzia, że chcieli odkryć skarby, zakopane w niewiadomym miejscu na szczycie; a słupy smołowe i ognie, jakie tu palono w nocy, lud podgórski uważa za sposoby wymyślone dla odpędzenia z tych miejsc czarownic, strzegących owych skarbów.

Od samego szczytu aż do podnóża góry rozlane morze głazów olbrzymich, które natura wydała w ostatnich chwilach swojej niemocy, a niebo napiętnowało wiecznym przekleństwem. Widzieć koniecznie potrzeba, aby nabrać pojęcia o tym potoku kamieni, które jakby dopiero wczoraj tu stracone i pokruszone z jednego muru, ułożyły się na spadku góry w szerokości kilkunastu łokci; foremne ich boki, wygładzone powierzchnie, tworzą jakby jedną pogiętą kamienną podłogę, na której jeden krzew nie ma odwagi wzrosnąć i pokryć czoła tych wiecznych pomników. Natura obumarła, natura zastygła na wieki, tu obrała swoje siedlisko, a znać trzeba historią miejsca aby nie pomyśleć, że te głazy dopiero wczoraj zostały tu rzucone ręką rzemieślników. Oto godne siedziby szatanów i czarownic; lud nasz umi bohaterom swych bajek obierać mieszkania. Tylko czarownica może lekką nogą przepłynąć po tych głazach, tylko szatan stracony na głowę może tu płasnąć i sprawiać uczyt swym kumoszkom.

Na widok tego rumowiska głazów olbrzymich, każdy zapyta, z kąd one się wzięły? A historia naturalna, i historia dziejowa, i podanie naraz mu odpowiadają, że ogólny potop i wstrząśnienie ziemi stworzyło Łysicę, że ze świątyni pogańskich runęły ściany i zaległy spadek góry, że to gruzy z olbrzymich zamków i pałaców bogatej królowny. I komuż tu wierzyć? jak odszukać prawdę? Nie było olbrzymów, mówią Cuvier i jego towarzysze; nie było na Łysicy świątyni pogańskich, wołają krytycy Długosza; Komuż tu wierzyć, uczonym czy ludowi? Tym razem idźmy na stronę ludu i posłuchajmy jego powieści.

Jak tylko księżyc pierwszy raz wypłynął na niebo, natychmiast na szczycie Łysicy stanął kamienny pałac. Pałac ten odrazu bogactwem stał się podobnym niebu osypanemu miliardem gwiazd i księżyców. A był wyższy nad najwyższe świerki; ściany miał z jednej masy kamienną, topioną aż w dwóch słońcach; dookoła były ogrody, w których rosły róże wielkie jak dęby, i jabłonie ze złotym owocem. Panią zaś tego pałacu była królowna, piękniejsza nad wszystkie królowny cudzoziemskie. Wesoło i gwarnie było w pałacu: wino się łąło, muzyka grzmiała od rana do nocy, od nocy do rana; krocie rycerzy, kochanków, snuło się po bogatych komnatach; królowna zbytowała jak nikt na ziemi.

Wtenczas jakiś błędny rycerz przyniósł do pałacu wieść o mającym wkrótce nastąpić powszechnym potopie. Królowna, objechawszy całą ziemię, przekonała się, że jój pałac wyższy nad wszystkie góry; bezpieczna więc i spokojna dalej zaczęła pędzić życie rozpustne, nie lękając się ani ludzi, ani Boga. Jednak gdy wieści o potopie coraz liczniej przychodziły do pałacu, królowna i jój rycerz postanowili oddać się w opiekę diabłu, i w tym celu posłali doń zaproszenie na wspaniałą ucztę.

Pan piekiel natychmiast kazał wynieść z swych piwnic ogromną bryłę złota, i wszystkich uczciwych ludzi, co żyli na ziemi w samolubnym zasklepieniu, zapędził do prac. Kominy i piece buchały wielkim ogniem, kłęby dymu zalały komnaty, a w kotłach zaczęto przetapiać złoto, z którego miał być ukuty frak balowy. Wszystkich próżniaków spędził do rozplątania jedwabiu, z którego miano uszyć najpodlejszą część odzienia. Wszystkich przedajników i zdrajców zagnał do roboty rękawiczek i maski. Wszystkim łakomcom kazał ważyć brylanty i drogie kamienie, któremi miał przyozdobić balowe ubranie. Wszystkim co rozumem najwięcej nabroili na świecie, mó-

zgiem kazał czyścić swe ogromne buty, w których siedzieli ci, którzy za życia innym buty szyli. A tchórzom, zniewieściałym, dzieciuchom, kazał czyścić broń palną, ostrzyć szable i wecować brzytwy. Tak to pan piekiel wystąpić chciał strojnem w obliczu królowny.

Nazajutrz las zaszumił, ziemia zajęczała, drzewa ustąpiły z miejsc swoich, i z ognistego słupa wysoczył diabeł, bogactwem stroju zaćmiewając dwór cały.

Pałac królowny jaśniał tysiącem ognia, aż niebo widać zawstydziło się takiej jasności; bo słońce, za ledwie weszło, upadło zaraz w jezioro, a czarne chmury pokryły cały firmament.

Uczta rozpoczęła się ochoczo, diabeł wszędzie rewodził, królowna szalenie tańczyła, a rycerz jój, bluźniąc Bogu, wznosił zdrowie potopu. Nagle niebo zagrało na piorunowych organach, ziemia zakipiała tysiącem płomieni, i cała Łysica od brzegu do brzegu przewróciła się do dna samego. Jeden tylko pałac stał jeszcze; ale gdy niebo wypuściło grom jeden i drugi, ściany jego rozprysły się w kawały, stopy granitów upadły w jedną stronę góry — i wszystko ucichło.

Taka jest treść powieści ludowej o Łysicy, która do zjawisk natury w naszym kraju należy.

Aby nic nie stracić z przyjemności, jakie każdego i odróżnika czekają na św.-krzyżkich szczytach, warto spojrzeć z wysokości piramidy na całą okolicę. Widok wspaniały! Wieża św. Krzyża sterczy jak twierdza nadbrzeżna; z południa nęcą oko piękne w sadach i pszennych wieńcach wioski sandomierskie; gęsto rozsiadłe miasteczka wyglądają jak murowane węzły; lunetą sięgniesz karpackich olbrzymów. Z północy wloką się dziwne górskie poplątania, to nienak, to znowu się wznoszą; ku Kielcom, ku Karczówce straszą olbrzymie łąny wzgórz pokrytych samym ciemnym jałowcem, a po nich snują się smutne, wązkie ścieżyny. Góry sterczą nie w ostrych skałach, ale w poważnych, łysych wydeptaniach; skałę też strącić można, a tym upartym, powolnym, głazowym wzniesieniom i wieki nie podołają.

Władysław Maleszewski.

POMNIK ALEKSANDRA SOBIESKIEGO,

W KOŚCIELE KS. KAPUCYNÓW W RZYMIE.

Ktokolwiek wartował po księżniczkach rzymskich rękopisy opowiadające niesłychaną radość, jaką wiekańskie zwycięstwo wzbudziło w stolicy chrześcijaństwa i kilkotygodniowe uroczyste obchody, jakich się stało powodem; kto widział wspaniały kościół pod wezwaniem Imienia Maryi Panny (Janowi III objawił się był we śnie jój obraz z napisem: *In hoc nomine vinces*), zbudowany na trajańskim forum, dla uwiecznienia pamiątki dnia tego, — ten pojmie snadno cześć i wdzięczność, jaką stolica apostolska otaczać nie przestała imienia Sobieskich. Imię to było popularnym w grodzie Cezarów, nietylko wtedy, kiedy nieprzebrzmiały jeszcze odgłos świetnego pogromu wstrząsał siedmioro pagórków, ale długo potem. Do samego wkroczenia wojsk rzeczypospolitej francuzkiej na włoską ziemię, przygody i chwala króla Jana bywały ulubioną osnową wieczornych zimowych opowiadań po rodzinnych kółkach. Dziś jeszcze żyją tam starcy, których najdawniejszą dziecinną pamiątkę stanowią legendy o królu Janie, a ludowi zatybrzańscy improwizatorowie śpiewają długi bohaterski poemat *in ottava rima*, jak *Jeruzalem i Orland*, o wyzwoleniu Wiednia *dall'invitto Ré di Polonia*, przez niezwykłego króla polskiego.

Dom Sobieskich wiedział o takowem dla siebie współczuciu, obudzonem czynami tego rycerza Opatrzności, który zdeptał jasność ottomańskiego księżycy, o którym współcześni pisarze nie wspominali nigdy inaczej, jak tylko stosując doń słowa ewangelii św.: *fuit homo missus a Deo, cui nomen erat Johannes*. Więc kiedy nieodżałowane wypadki oddaliły od tronu dynastją bohatera, kilku z jój członków udało się do Rzymu, a Rzym ich przyjął z otwartymi ramionami, jako plemię męża najpopularniejszego, ba, jedynego w nim popularnego ze wszystkich obrońców krzyża.

Królowa Marya Kaźmira, owdowiawszy, przybyła do wiecznego miasta i mieszkała w niem lat kilka. Dotąd widać na *Monte Pincio* dom ozdobiony jój her-

hem: Janiną Sobieskich i zającami margrabiów d'Arquien, wśród tarczy jaśniejącej orłem i pogonią. Na *Corso* zaś pokazuje balkon, z którego przyglądała się rzymskiemu karnawałowi, wraz ze stuletnim ojcem swoim, świeżo obdarzonym kardynalską purpurą.

Marya Klementyna Sobieska, zaślubiona prezydentowi Jakubowi II, a matka dwóch ostatnich Stuartów, Jakuba III i Henryka Benedykta, kardynała eboraceńskiego, spędziła w Rzymie znaczną część swego żywota i zostawiła po sobie trwałą pamiątkę rzadkiej chrześcijańskiej cnoty, a oraz wykształconego rozumu i wdzięków. Ówczesne drzeworyty przechowały nam wspaniałość jej pogrzebu, na którym bardziej niż gromnice i pochodnie, świecił uroczy blask wiedeńskiego słońca i dziadowskiej wielkości. Ten to blask nawet otworzył zwłokom ciężkie podwoje bazyliki św. Piotra, gdzie samych tylko papieży grzebią od niepamiętnego czasu. Namiestnicy Piotrowi, dawni hetmani wojen krzyżowych, czuli że rycerstwo jest także rodzajem kapłaństwa i że Jan, a przynajmniej krew jego, miała swe miejsce wytknięte obok Piotra, na tym Taborze przemienionej i tryumfującej wiary, jakim jest fara chrześcijaństwa.

W Rzymie to nareszcie zmarli księżę Aleksander Sobieski, średni syn Jana III, i Henryk de la Grange, margrabia d'Arquien, teść jego, zgasły w 105 roku żywota. Nagrobek pierwszego z nich w wiernym przerysie tutaj załączamy.

Księżę Aleksander leży u kapucynów, koło placu Barberini. Nagrobek królewicza, z najpiękniejszego karraryjskiego marmuru, uwieńczony jest jego wizerunkiem w płaskorzeźbie, trzymany przez dwóch aniołków, z których jeden, płacząc, gasi symboliczną pochodnię żywota, drugi zaś składa berło na wezłowie, na którym spoczywa korona, ta korona, której nie dano było Polakom oglądać na skroniach Janowego syna, lecz jedynie na jego kościach, zamienioną w głąz grobowego wieka. Trumna dźwigana jest przez uwieńczonego orła, którego lewe skrzydło wybija się zwycięzko z pod śmiertelnego brzemienia i wlatuje na tle trumny, jak na herbowym polu, podczas gdy ptak srebrnopióry dzierży w szponie swojej nie już wiedeńskie gromy, lecz węża, godło wieczności i nieśmiertelności, pozgonny wieniec, który snadź wynalazł i podniósł, błąkając się po grobach... Wrażenie jakie ten najpiękniejszy z polskich w Rzymie pomników sprawia na patrzącym, jest ogromne.

Nagrobek ojca Maryi Kaźmiry, znajduje się w kościele *San Luigi de Francesi* nade drzwiami zakryty. Kardynał de la Grange, stosownie do ówczesnego zwyczaju, przedstawiony jest na nim jakoby stojący na mównicy w kardynalskich szatach, z otwartą książką w ręku i z orderem Ducha św. na piersiach. Jako najprzedniejszy panegiryk położono w napisie następujące słowa: *Teść wielkiego Jana.*

HRABIANKA DYNIA,

O B R A Z E K.

Skreślił

Teod. Tom. Jez.

(Dalszy ciąg.)

VI.

Powieść nasza rozdzieli się teraz, to jest na dwa przeniesie się punkta, do Hniłek i Hylek. Grunt nadworniański opuścimy, opuścimy go na zawsze (w niniejszej — rozumiemy się — powieści), nie zatrzymując się nawet dla hrabiego i hrabianki, których stanem może kto z czytelników się interesuje. Czuję się tylko obowiązany uspokoić czytelników, zapewniając ich jaknajuroczyściej, że ani hrabiemu, ani hrabiance nic się złego nie stało. Hrabiance sińce i guzy zeszyły, a hrabiemu na twarzy i nosie takie tylko ślady pozostały, że go można było posadzić, w najgorszym razie, o pobicie się w karczmie (przepraszam, w cukierni) butelkami, albo w najlepszym o narażenie się na zaszczytne blizny w pojedynkach lub na wojnie. Co się zaś tyczy metody jaką oni byli leczeni, to z tej nie potrafię zdać sprawy. Wiem tylko, że lekarze i apteka bardzo ich dużo kosztowały. Wiem także, iż hrabiego można było następującym uleczyć sposobem: dmuchnąć mu w nos i powiedzieć:

— Obmyj się, wstań i chodź...

Wiem również, że tego sposobu nie użyto. Hrabia długo leżał, długo chorował, długo bliżsi i dalsi są-

siedzi ubolewali (ale tylko w oczy) nad stanem jego, zanim zdołał wstać i chodzić. Hrabianka zaś nawet się nie kładła; ona wyleczyła się chodząc.

Uspokoiwszy tedy czytelników pod względem stanu zdrowia bohaterki i jej ojca, proszę ich aby raczyli przenieść się wyobraźnią na Pokucie i zatrzymać w wiosce zwaną Hniłki.

Tu znów cisną mi się gwałtem do myśli te wyrazy, którymi rozpocząłem powieść. Chce mi się znów z radą dla turystów wyjechać, z radą i wymówką, czemu oni w swoje kregi podróźnicze nie wkluczają Pokucia. A zyskaliby na tém bardzo wiele, poznaliby piękny kraj i dobrych ludzi.

Pięknem bo jest to Pokucie!.. Roztoczone pomiędzy grzbietami Karpat a Dniestrem, przecięte przez pół Prutem i odgródzone od multauńskiej Bukowiny Czeremoszą, łączy ono w sobie, na niewielkiej przestrzeni, trzy charakterystyki fizjonomii krajowej: górski, podgórski i stepowy. W Karpatach jeży się i wspina olbrzymio. U podnóża Karpat przechodzi w coraz łagodniejsze pagórki, które ku Prutowi i za Prutem rozścielają się w niektórych miejscach w równiny, a zbliżając się do Dniestru, przybierają właściwy wybrzeżom tej rzeki garbaty, połamany, ściankowy charakter. Są to i leśne i bezleśne okolice, kamieniste i miękkie, pulchne grunta, a jedne z drugimi układają się tu w rozległe, poważne, pełne jakiegoś smętnego zadumania widoki, owdzie w ciemniejsze ale rozmaite, uśmiechnięte lub ponure krajobrazy. Te ostatnie znajdziesz w górach i nad Dniestrem; a tamtych, jeżeliś ciekawy, to jedź do Obertyna, obejrzyj się gdzie najwyższa mogiła, pójdź, stań i rozglądaj z mogiły dokoła. Puść oko w tył i wprzód tatarskim szlakiem i spytaj go, gdzie się ono zatrzyma? Południową stroną pobiegnie do Śniatynia i za Śniatyni, północną na Chocimierz, na Tłómacz, będzie się darło ku Lwowu i wyglądało w powietrzu wież św. Jura; a z boku będzie mu połyskiwał Dniestr, a z drugiego boku będą zielniały rozdoły i lasy. Przyłóż ucho do ziemi. W jej łonie usłyszysz dudnienie, które się jeszcze pozostało z czasów obertyńskiego boju. O! bo też wówczas to łono matczyne tej naszej ziemi stargane było kopytami, zorane kulami i zasiane trupami. Huk tej bitwy, niby pogromowe echo, przedarł się do ziemnej głębi i tam pozostał. I tam drży po dziś dzień, jak odległego echa wibracja. I tak drżać będzie, aż do dnia sądnego. Jeżeli nie wierzysz, posłuchaj, ale słuchaj dobrze. Wsłuchaj się i wpatrz, a nie tylko dziwo usłyszysz, ale i dziwo zobaczysz. Z rozdołów i lasów wysunie i jawnie ci się przed oczyma pokaże bohater, rozumny jak Sokrates a waleczny jak Kokles. Za nim rycerstwo, jedno jasne, błyszczące i niby na orlich skrzydłach lecące — to husarze; drugie ciemne, a lekkie, a posuwiste i lasem spis najeżone — to Kozaki. A ten bohater? — to Jan Tarnowski. Reszty nie potrzebuję ci opowiadać, reszty powinieneś się domyślić.

Nieprawdaż, że mam rację radzić turystom, aby jeździli na Pokucie!.. Taki widok, jak z obertyńskiej mogiły, wart dla nas trochę więcej, jak jakiś tam alpejski lub pirenejski. Tamtemi bowiem nakarmisz tylko wzrok, a tym i wzrok, i pamięć, i serce, pod warunkiem wszakże, abyś tam nie ważył się przychodzić z sercem cudzoziemskim, z nie takim, jak dziecka do łona matki się tulącego.

Obertyn, Śniatyn, Kołomyja, to na niewielkiej przestrzeni kraju trzy wyrazy, trzy miejsca historyczne. Ostatnia jest dziś stolicą obwodu, zwanego kołomyjskim, obejmującego znaczną część dawnego Pokucia. Kołomyja niegdyś, wspólnie z Kamieńcem, była pogranicznym miastem, wyznaczonym do przyjmowania holdu, do jakiego gospodarowie multauńscy byli względem królów polskich obowiązani. W Kołomyji Stefan Wielki składał hold Kaźmirzowi Jagiellończykowi, co mu wszakże nie przeszkodziło złupić ją potem. Niegdyś kwitła ona handlem, prowadzonym przez ormiańskich kupców, i przemysłem. Dziś jest to dość mizerna miejscina, żyjąca tym jedynie, że w niej koncentrują się główne sądownicze i administracyjne obwodu władze. Lepiej trochę jak w rzeczywistości, żyje ona w podaniu ludowym.

Kołomyja nie pomyja, Kołomyja misto,

W Kołomyji dziewczyńki, jak przemyczne tisto.

Sławi ją lud z powodu dziewcząt. Pod tym względem podanie jest trochę niesprawiedliwem, sława ta bowiem nie samemu tylko miastu, ale całemu Pokuciu się należy. Ej! dziewczętaż to tam, dziewczęta!..

Kiedy mi raz przypadkowym sposobem udało się przeglądać płeć nadobnej w pewnej wsi zrobić, to, mili i kochani czytelnicy, to rady sobie dać nie mogłem. Co się która pokazała, to ładna, a druga jeszcze ładniejsza, a trzecia jeszcze, a gdy powróciła pierwsza, to wydała się ładniejszą od wszystkich, i w końcu się pokazało, że każda z osobna była od wszystkich ładniejszą. Otóż tu dopiero sędzia znalazłby się w niepospolitym ambarasie, gdyby mu polecono medal pierwszej klasy najpiękniejszej przysądzić!.. Myślałem sobie: niechciałbym za żadne w świecie pieniądze być sędzią w takim razie!..

Piękność kobiet, chociaż nie w jednakiem mierze, ogólną jest jednakże na całym Pokuciu. I nie dziw!.. W górach Huculy, a z nimi i owe Huculki, o których, jako o najmiłszej nagrodzie, powiada pewna piosenka: — Huculka buziaka da.

Więc na Podgórzu i równinach we krwi ludu cieniuje się jeszcze taż sama huculska rassa, aż póki na lewym Dniestru brzegu nie przejdzie w podolskich Rusinów.

A nie same tylko Pokucianki ładne. Mają one obok godną siebie i drugą połowę rodzaju ludzkiego. I mężczyźni są śliczni. O tych ostatnich sędzić możecie po Parfenim, który był czystym typem Pokucianina. A jeżeli się wam wydało, że Parfeni jest dobrym synem, że jego matka dobrą jest matką i żoną, że jego ojciec dobrym był ojcem, mężem i człowiekiem, to wiedźcie, że oni nie byli wyjątkami. W tym ostrym kąci polski, dobroć i uczciwość tak jakos silnie wgruntowała się w serca ludu, że ją nic jeszcze z tamtąd wykorzenić nie mogło. Chłop na Pokuciu jest łagodnym, pracowitym i ufającym, i zachował w nieskażonej czystości ten swój rozum, za pomocą którego umie doskonale złe od dobrego odróżnić.

W takim to kraju, wśród takiego to ludu, urodził się i pierwsze swoje kroki stawiał Parfeni. Mówię tu o krokach, tak w sensie materialnym, jak moralnym; niesłychanie bowiem ważną jest rzeczą, jakim był pierwszych i drugich, a szczególnie drugich grunt. Owóż gruntem tych ostatnich było to, co pozwoliło mi nazwać moralną atmosferą. Była ona potrójną. Najprzód atmosfera Pokucia, potem atmosfera Hniłek, na ostatku atmosfera rodzicielskiej strzechy. Każda z nich, poprzedzająca, miała się do następującej, jak wielkie koło do mniejszego, ze wspólnego środka opisanego. W tym środku wyobraźcie sobie Parfeniego. Oddychał on najprzód atmosferą kółka rodzicielskiej strzechy, potem atmosferą kółka rodzinnej wsi, potem atmosferą kółka rodzinnej okolicy. Potem były jeszcze i koła szerokie, których atmosferę później zaczerpnął Parfeni, ale o tych tym razem pisać nie będę. Obchodzą mnie szczególnie najmniejsze, wieś i dom.

Wieś, jak wiemy, nazywała się Hniłki. Leżała ona.. leżała.. Ot! lepiej nie powiem dokładnie geograficznego jej położenia. Od powieściopisarza dokładności się nie wymaga. Leżała więc tak, że z tamtąd niezbyt było daleko i do Kołomyji, i do Obertyna, i do Śniatynia, i byle tylko znać drogę, to trafić z niej można było do wszystkich mniejszych i większych wsi i miast nie tylko Galicyi, nie tylko Polski, ale Europy całej. Położenie zaś jej topograficzne nie było nader ciekawem. Przez środek płynęła rzeczka, która ujęta grobelką, sformowała stawek, zarosły w wierzchowinie bujnym oczeretem i osoką, a bliżej grobelki zapełniony pokrzywką, z łona której, we właściwej roku porze, rozrastały się szerokie liście wodnych ziół i wystrzelały kielichy białej lilii. Po stawku pływało mnóstwo gęsi i kaczek (rozumie się póki go lód nie ściał i śnieg nie przysypał); a około stawku ułożył się grunt w łagodne spadki, na których rozsiadły się Hniłki. Najwyżej stał dwór stary, zbudowany, jak wieść niesła, na miejscu, gdzie niegdyś stał zamek, którego wałów szczątki zachowały się jeszcze w dworskim ogrodzie. Dalej był dworek proboszcza, nieopodal od drewnianej cerkwi. Te dwa budynki uderzały oko widza odmiennością struktury, różniącą ich od chałup wieśniaczych, które beładnie zasypały całą Hniłek powierzchnię.

Hniłki na planie przedstawiałyby się bardzo nieregularnie. Na planie pokazałyby się dopiero dokładnie ulice pokrecone w esy i połamane w zygzaki, chaty w rozmaite strony frontami zwrócone, ogrody i sady rozmaite narysem i wielkością, podwórza większe i mniejsze, kwadratowe i mnogokątne, gumna także rozmaite wielkością i kształtem, i jakieś tu i owdzie

placyki, zawarte pomiędzy rowami i opłotkami, obok których należałoby dla dokładności oznaczyć na planie pokrzywy, łobodę i denderę. Bez planu jednakże, na grancie, zdawało się że w Hniłkach jak jest, tak wszystko być powinno. Dawność zagospodarowania, widna na chałupach, obejściach i rozłożystych drzewach sadów, ulegalizowała nieregularność przedawnieniem i nadała jej jakąś taką cechę poetycznej świętości, że świętokradztwem wydałaby się myśl uregulowania wsi, przez prostowanie ulic, płotów i rowów, przez przestawianie chat, a najbardziej przez wycinanie lub przesadzanie grusz, jabłoni, wisien, czeresien i śliw. Trzebaby było także pozasypywać studnie i pokopać je w innych miejscach, i może nawet poznosić skrzypiące żurawie i pozastępować je kołami. Gdyby to zrobiono, to z Hniłek pozostałaby sama tylko nazwa; pozostałoby zapewne i ludzkie, bo cóżby mieli począć? ale z pewnością opuściłyby je bociany, które się tam po wszystkich dachach rozgospodarowały. Te ostatnie nie zniosłyby reformy, któreby je ze starych gniazd wypłoszyła.

Żadna jednakże reforma nie zagrażała jeszcze Hniłkom. Ludzie i bociany mieszkali sobie po dawnemu i po dawnemu gospodarowali, i po dawnemu stanowili jedną jakoby rodzinę, w której dwór, pomimo oficjalnej zmiany stosunku do chat, rej wodził. Wieśniacy, niegdyś poddani, stawszy się sąsiadami tego co dawniej był dziedzicem, byli dobrymi i życzliwymi sąsiadami. Nowy stosunek, stał się stosunkiem wzajemnego wspierania się. Jeżeli czego potrzebował wieśniak, to szedł do dworu; jeżeli czego potrzebował pan, to udawał się do wieśniaków. Ufność wzajemna wiązała ich węzłem tak silnym, że go nie zerwać nie mogło.

W Hniłkach, wśród chat chłopskich, było kilka sadyb szlacheckich, różniących się trochę od pierwszych zagospodarowaniem, oznaczającym dawniejszą daty niezależność. W nich mieszkała szlachta chodackowa. Z jej liczby był ojciec naszego bohatera.

Jakub Suchobrodzki był tedy szlachcicem, i wiedział o tym, to jest wiedział, że szlachectwo wkłada obowiązki, niepełnienie których piętrem hańby nazywa człowieka. Jakiemiż wyobrażał on sobie obowiązki owe? A oto, wszystkie ześrodkowywały się dla niego w jednym wyrazie *przykładność*. Żyć tak aby stać się przykładem dla drugich, wydawało mu się jednoznaczniakiem z wyrażeniem: być szlachcicem. Zkąd on się o tym dowiedział? A, nie wiem. Może mu to wyobrażenie wpłynęło do umysłu wprost z powietrza pokuciańskiego, może mu kto w młodości takie dawał nauki, może mu ksiądz na spowiedzi powiedział, może nakoniec wyciągnął to przekonanie z własnego sumienia. On o tym nie rozprawiał, bo nie potrafiłby się wysłowić, a tylko wedle tego postępował. Był uczciwy, pracowity i od nikogo, ani nawet od chłopów, nie wyodrębniający się. Gdy kto w jego obecności z przekąsem wymówił wyraz „chłop“, on się zawsze czuł obowiązany odezwać:

— Chłop takim samym jest człowiekiem jak ja... Jeden Bóg nas stworzył, jeden Bóg nam ojcem... Jeżeli chłop uczciwszym jest odemnie, to on lepszy szlachcic jak ja...

Człek prosty, nie umiejący nawet na książce do nabożeństwa czytać, nie umiał on inaczej, rozumnie w tej materii się wytłumaczyć. Ale na co lepiej i rozumniej?...

Suchobrodzka, chłopka z rodu, Frasya Lemieszówna z domu, była drugim Jakubem, w niewieścięj tylko postaci.

Od ogólników do szczegółów schodząc, powiedzić potrzeba, że małżeństwo różniło się pomiędzy sobą charakterem. Jakub był powolny, Jakubowa prędką. Różnica ta jednakże nic a nic harmonii domowego pożycia nie naruszała, a to dlatego, że jedno drugiemu nic nie miało do zarzucenia. Co Jakubowej szkodziła powolność męża, kiedy wiedziała, że on wszystko robi i dobrze, i lepiej niż jakby się spieszył, a przytę, przyzwyczaiła się już do tej powolności. Co Jakubowi szkodziła prędkość żony, kiedy wiedział że ona niczego nie popsuje, ani nie prześlepi, kiedy zresztą przyzwyczaił się do niej. W pracach gospodarskich i zajęciach domowych, w których każde swój wydział miało, sprzęgało się to tak, że wszystko szło w ład. Jakub robił swoje, Jakubowa swoje, i spólnie owoce pracy pożywali.

Jakim był ich stan majątkowy? Ot, powiem wam

szanowni czytelnicy, nienajświetniejszy. Z zagona-bodrobić się majątku, to trudno, szczególnie przy progressywnem narastaniu podatków i przy jednakowej zawsze urodzajności gleby. Nie cierpieli jednakże niedostatku. Mieli chleb na chleb, a do opędzenia innych potrzeb, mieli źródło w zarobkowaniu, które było dla nich trochę za uciążliwem: bo Bóg nie obdarzył ich licznym potomstwem. Musieli, wszędzie i zawsze, własnymi nadstarzać osobami. A że wszystko robili własnoręcznie i opatrywali osobiście, do wszystkiego przeto, co było ich, przywiązali się uczuciem miłości na polu pamiątkowej, na polu rodzinnej. I tak np. miała Jakubowa sierp, którym przez kilka z rzędu lat żęła. Zniszczył się on w końcu od używania i trzeba go było zastąpić nowym. Kupiła więc nowy sierp, ale stary schowała do skrzyni, i tak szanowała, że za żadneby go nie odstąpiła pieniądze.

— Dla innych, mówiła, on na nic, chyba na świeczki, a dla mnie on drogi, bo mi przypomina tyle pracy...

A jak z sierpem, tak było ze wszystkim. Suchobrodzcy niczego nie marnowali, nie wyrzucali i w ostateczności tylko coś sprzedawali. Duch spekulacji był im obcym. Sprzedawali zboże, chociaż woleliby byli zatrzymać je i rozdać pomiędzy ubogich. Ale cóż!.. trzeba było na podatki. Z tego powodu nie lubili podatków. Raz jednakże ochoczo sprzedaż wykonali, i to krowy najlepszej, najwięcej mleka dającej. Było to wówczas, gdy gromada hniłcka składała się na szkółkę. Suchobrodzcy oddali krowę, i jeszcze zdawało się im że mało, i dlatego co roku płacili wyżej nad podatek uchwalony przez gminę na utrzymanie szkółki.

— To dla swoich, mówili, i na wiadomą rzecz, to i dać aż miło; a tamto, Bóg wie na co...

Bóg im dał syna. Tożto była dla nich radość!

— Wychowamy go sobie na pociechę, ludziom na pożytek, Panu Bogu na chwałę... powiedzieli jedno drugiemu uszczęśliwieni małżonkowie, gdy Parfeni na świat przyszedł.

I najmilszą ich myślą, jedyną do Boga modlitwą, stało się:

— Wychować syna sobie na pociechę, ludziom na pożytek, Panu Bogu na chwałę...

— Jak to zrobić? myśleli i przemyśliwali.

Jakub przyrządzał dla syna zagon i całe gospodarstwo. Chciał on, aby Parfeni przyszedł do gotowego, aby mu ani jednego kółka nie zbrakło. Dlatego od pierwszej niemal chwili urodzenia jego, zaczął już dla niego pracować. Dla niego przysposabiał narzędzia rolnicze, dla niego hodował byczki, dla niego grodził płoty i kopał rowy, dla niego zaszczepił kilka drzew, które dziczec poczęły, dla niego rolę jak grządkę uprawiał. Jakub więc myślał że syn jego będzie rolnikiem.

Prędsza charakterem Jakubowa, miała też żywszą i bujniejszą wyobraźnię. Ona świetniejszą jakąś rolę przyszłość dla jedynaka, ale jaką mianowicie, długo nie wiedziała.

Tymczasem dorósł chłopak siedmiu czy ośmiu lat i rodzice oddali go do szkółki.

Swawolnemu (był bowiem swawolnym z dzieciństwa) Parfeniemu z razu źle poszła nauka. Nie mógł jakoś nałamać się do poznawania liter abecadła, a następnie do syllabizowania. Ale gdy pierwsze lody przełamał, a szczególnie gdy zaczął czytać i pierwszą myśl przeczytaną zrozumiał, to jednym razem jakby jakiś nowy, a czarowny, a uroczy odsonił się przed nim świat. Był to ten labirynt, który „światem myśli“ nazywamy. Chłopak go przejrzał i tajemniczość jego pociągnęła go ku sobie. Zachciał go przejść na wylot, nie oglądając się na żadną Ariadnę i jej kłębek. Z pożądliwością więc rzucił się do książek, a raczej do myśli w nich skryzystalizowanych, i w młodej głowie zawczasu poczęło mu się roić a roić.

Z rojeń swoich spowiadał się Parfeni przed ojcem i matką. Były to po większej części proste, katechizmowe dane, ubarwione młodocianą wyobraźnią. W nich pływał i bujał umysł Parfeniego. A rodzice cieszyli się, a nauczyciel szkółki i proboszcz kiwali głowami i dziwili się.

— Waszego chłopca chyba by na księdza pokierować... rzekł raz ten ostatni do Jakubowej.

Jakubowa zadrzała na tę myśl.

— Sobie na pociechę, ludziom na pożytek, Panu Bogu na chwałę!.. zawołała, a oczy jej zajaśniały radością.

I klasnęła najprzód w dłonie, a potem plackiem księdzu do nóg upadła i łzami się zalała.

— Co asani się stało?.. Wysypałaś mi tabakę... rzekł ksiądz, odstępując w zdziwieniu i spoglądając z żalem na tabakę, którą miał zażywać w tej właśnie chwili, kiedy niespodziane runięcie do nóg jego Suchobrodzkiej, wstrząsnęło i nim i otwartą tabakierką.

— O! dziękuję księdzu dobrodziejowi, dziękuję!.. powtarzała Jakubowa.

— Za co?.. po co?.. no?.. dopytywał się proboszcz.

— Mój Parfemek... i nie mogła dalej mówić.

— Moja tabaka... mówił proboszcz, nie słuchając Suchobrodzkiej, wszystka co do niucha się wysypała..

— Na pociechę.. przerwała uszczęśliwiona kobieta.

— Ale, na pociechę!.. podchwycił nieukontentowany wypadkiem kapłan. Piękna mi pociecha!.. Cała tabakierka od razu!.. Co to się asani stało? Tyle mnie tabaki od razu pozbawić!.. No!.. Proszę!..

— Ludziom na pożytek... znów rozpoczęła Suchobrodzka, zajęta tylko jedną myślą, a tą myślą była przyszłość syna, która się już przed nią jakoś wyraźniej zarysowywała.

Ksiądz zaś zajęty był tylko tabaką, i dlatego nie mógł się z Jakubową porozumieć. Wszystko co ta ostatnia powiedziała, odnosił do swojej tabaki. Tak więc, gdy ta wymówiła „pożytek“, to on się wstrząsnął gniewnie i zawołał:

— Komu? jaki pożytek?.. No!.. możnaby pomyśleć, że ta kobieta nie przy zdrowych zmysłach!.. Wysypała mi tabakę i powiada, że to na pożytek!... Tfu!.. Co się też tym ludziom nieraz dzieje!..

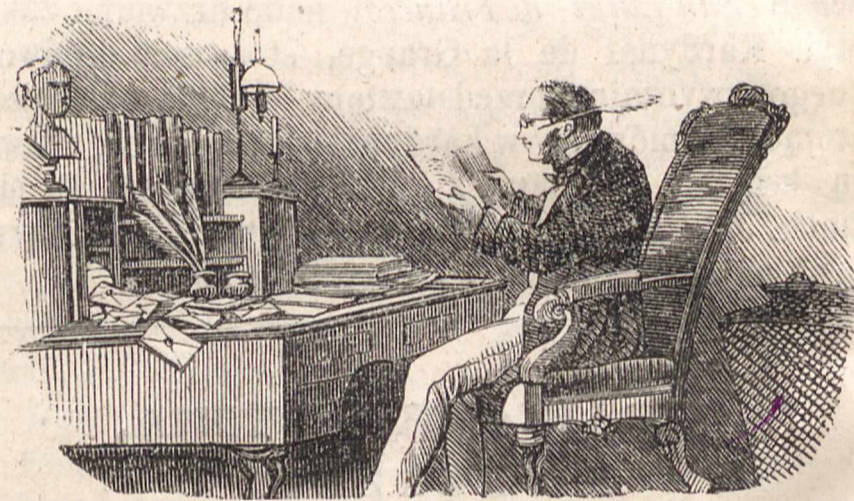
I strzepnął próżnymi palcami i odszedł.

Myśl jednakże, rzucona przez niego od niechcienia, jak ziarno mimowiednie uronione, przyjęła się w umyśle Jakubowej i rozgrzana sercem, wystrzeliła w plon.

Wykierować Parfeniego na księdza, stało się dla biednej chłopki cudnym ideałem, o którym myśl sama raj na ziemię jej sprowadzała.

Pozostawało jednakże urzeczywistnienie tego ideału, trudne nasamprzód dlatego, że zupełnie niewiadome.

(Dalszy ciąg nastąpi)



Od jednej z łaskawych czytelniczek naszych w Lubelskiem otrzymaliśmy rs. 50, dla przesłania panu Józefowi Lompie na Szląsku, przy następującej odzwie:

„Przy podziękowaniu za umieszczenie życiorysu zacnego Lompy i proźbie, ażeby redakcja Tygodnika Ilustrowanego zechciała nas częściej obznajmiać z ludźmi jak on małuczkiemi a pełnymi zasługi, załączam rs. 50., które też redakcja niechaj raczy przesłać szanownemu Lompie, jako bardzo skromny dowód serdecznej dla niego sympatii.

Życzliwa abonentka i czytelniczka
Tygodnika Ilustrowanego.

Do p. E. B. w Suchedniowie pisaliśmy osobno; że jednak listu tego, jak się zdaje, nie otrzymał, przeto uwiadomiamy go że artykuł jego i rysunek znajdują w naszym piśmie pomieszczenie, chociaż czasu kiedy to nastąpi oznaczyć nie możemy.

P. J. G. w Wilnie. Wszelkie artykuły nadsyłane być mogą franko pod adresem redakcji Tygodnika; sądząc jednak po liście do nas pisanym, nie wróżymy panu powodzenia w szrankach literackich.

P. L. B. w Warszawie. Pomyłkę dostrzegliśmy kiedy już było zapóźno; wina w tym rysownika, nie nasza. W każdym razie dziękujemy za życzliwe ostrzeżenie.

P. S. W. w Kłóbcę najmocniej jesteśmy obowiązani za uprzejmą i pochlebną dla nas odezwe. Dla braku jednak miejsca artykułów nadesłanych drukować nie możemy.

P. J. Z. Zadania szachowe odebraliśmy. Jedno z nich damy dzisiaj; drugie, jako zbyt łatwe, użytym nie zostanie.

DONIESIENIA.

KSIEGARNIA I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH

G. GEBETHNERA i spółki,

w Warszawie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 415 w pałacu JW. hr. Stanisława Potockiego.

otrzymała następujące nowości:

Biblioteka zaściankowa tom 2, życie i przy-
padki Faustyna Feliksa na Dodoszach Dodo-
sińskiego, Pamiętniki Seglasy przez Fryderyka
hr. Skarbka. Cena kop. 75.—Mała Gramma-
tyka języka polskiego, przez Józefa Mieczkow-
skiego profesora Bibl. Uniwer. Jagiel. wydanie
nowe stereotypowe. Cena kop. 45.—Taż sama
grammatyka, wydanie nowe przerobione. Cena
kop. 75. Obrazy Natury z umiejtnymi obja-
śnieniami Aleksandra Humboldta, przełożył
z 3go poprawnego i pomnożonego wydania
Dr A. Urbański, dwa tomy. Cena rs. 2 kop. 50.
Bajki i Powiastki Stanisława Jachowicza, wy-
danie ozdobione 24 rycinami kolorowanymi
według rysunku W. Gersona. Cena rs. 2. —
Historia Święta i katechizm dla dzieci, przez
ks. J. Kozłowskiego. Cena kop. 30. — Podania
Litewskie, przez Ignacego Chodźkę, serya
czwarta, drugi Pustelnik w Proniunach, czyli
Votum chybione. Cena kop. 75.—Caprea i Ro-
ma, obrazy z pierwszego wieku, przez I. J.
Kraszewskiego, 4 tomy we dwóch. Cena rs. 3.

Taż księganina otrzymała na skład główny
nowo wyszłe dzieła: O Instytucjach kredyto-
wych w kraju naszym, przez Piotra Falhenha-
gen Zaleskiego. Cena kop. 30. — O domach
zleceń rolników i ich wpływie na rolnictwo,
handel i na rozwinięcie systemu bankowego
i kredytowego w kraju naszym, przez tegoż.
Cena kop. 50. — Upominek czyli elementarz
dla dziewcząt wiejskich. Osoby zamieszkałe
na prowincyi życzące nabyć powyższy elemen-
tarz, raczą żądania swe adresować do księ-
garni wyżej wymienionej. Cena za egzemplarz
kop. 5 czyli gr. 10.

Wyszedł z druku trzeci zeszyt tomu trze-
ciego Rozrywek dla młodocianego wieku,
przez Sewerynę z Zuchowskich Prusakową
i zawiera: Legenda wieków, W. Hugo, Biedni,
przekład Adama Pługa, Ojciec Michał z Kra-
kowa, przez Aleksandrę z Ch. Borkowską.
Święta Puciczna powieść, Literatura Polska,
czasy Jagiellońskie, czytanie szóste, Wspom-
nienia Anglii i Szkocyi pani Bucher Stowe.
Serya trzecia Rozrywek dla młodocianego
wieku wynosić będzie tomów pięć. Cena pre-
numeracyjna na 5 tomów rs. 4 kop. 50. Skład
i ekspedycja główna w księgarni G. Ge-
bethnera i spółki, przy ulicy Krakowskie-Przed-
mieście, Nr. 415, w pałacu JW. Hr. Stanisława
Potockiego.

KSIEGARNIA

HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście,
w pałacu JW. Hr. Stanisława Potockie-
go Nr. 17,

wprost kościoła ks. Karmelitów,

otrzymała następujące nowe dzieła: Herby
Rycerstwa Polskiego przez Bartosza Paproc-
kiego zebrane i wydane r. p. 1584. Wydanie
Kaz. Józ. Turowskiego, egzemplarz kolorowa-
ny, 4ka, Kraków 1858, cena rs. 25. Opowiada-
nia dla dzieci podług dzieła P. Pape — Car-
pantier: Dzieło uwięzione przez Akademię
francuzką, wydał T. Xze. L. Ska, Warszawa
1860, kop. 90. Wspomnienia z przeszłości. Ob-
razki poświęcone młodemu wiekowi przez Ale-
ksandrę z Chomętowskich Borkowską, 16ka,
Warszawa 1860, rs. 1. — Caprea i Roma, Obra-
zy z pierwszego wieku przedz JI. Kraszewskie-
go, 4 tomy we 2ch, Wilno 1860 rs. 3. — Wikto-
ra Hugo, Legenda Wieków po polsku przez
Adama Pługa i Apolla Nałęcza Korzeniow-
skiego, Ska, Żytomierz 1860, kop. 25. Co się ko-
mu należy. Słowo o. p. Kornelu Ujejskim i o.
p. Wincentym Polu przez Maurycego Dziedu-
szczyckiego, Ska, Lwów 1860 cena kop. 35. — Ob-
razy natury, z umiejtnymi objaśnieniami Ale-
ksandra Humboldta, przełożył z 3go popra-
wnego i pomnożonego wydania Dr. A. E. Ur-
bański, Petersburg 1860, 2ty, rs. 2 kop. 50. —
Żywot Tomasza Zamojskiego Kanclerza W.
Kor. napisał Stanisław Żurkowski, Ska, Lwów
1860, rs. 2 kop. 50. — Zdarzenia rzeczywiste
w powiastkach, przez A. S. 2 tomy, 16ka, War-
szawa 1861, rs. 2. Dawne obyczaje i zwyczaje
szlachty i ludu wiejskiego w polsce i w ościennych
prowincjach 10ka, Warszawa 1860, rs. 1.

**Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych War-
szawskich.**

kop. 20. — Nauka praktyczna języka francuz-
kiego na sposób jak wszyscy uczą się rodowi-
tego języka, przez oglądanie, opowiadanie i po-
wtarzanie zdań o przedmiotach, poszyt ligi
cena kop. 30. — Poezye Wincentego Pola,
Nowy poemat Stryjanka, Ska, rs. 1. kop. 80.
Przyczynki do dziejów polskich z archiwum
miasta Wrocławia, zebrał August Mosbach,
Ska, Ostrów 1860 rs. 1 kop. 57 i pół — Próbki
filozofii mowy Adolfa Kudasiewicza, Ska, rs. 2.
kop. 40

NAKLADEM KSIĘGARNI

KAROLA BERNSTEJNA

przy ulicy Miodowej Nr 483

Wyszła nowa Polka pod napisem; „Kas-
sztelanka“, ułożona na fortepian przez
Leona Sznabel. Odnacza się głównie tēm, że
jest śpiewna i w stylu łatwym napisana. Cena
egzemplarza kop. 15.

NAKLADEM

Księgarni Polskiej

ulica Miodowa Nr. 482,

wyszedł zeszyt 7my dzieła:

WIZERUNKI

KRÓLÓW I KSIĄŻĄT

panujących w Polsce od Mieczysława I,
do Stanisława Augusta (40 portretów
w 10ciu zeszytach).

Zebrane i rysowane według autentycznych
źródeł przez Al. Lessera w formacie o po-
łowę mniejszym niż Galeria Królów Polskich.
Zeszyt ten obejmuje 4 portrety 1) *Kazimie-
rza Jagiellończyka* 2) *Jana Alberta* 3) *Alexan-
dra Jagiellończyka* 4) *Zygmunta* 1go.

A. Dzwonkowski i spółka.

W ZAKŁADZIE ARTYSTYCZNO-LITOGRAFICZNYM

M. FAJANSA

przy ulicy Długiej Nr 550,

opuścił prasę

KALENDARZ ŚCIENNY NA ROK 1861.

Zdobi go znana prześlizna kompozycja P.
Jul. *Kossaka* (cztery pory roku), którą tu wy-
dawca na liczne żądania powtórzył, a wyko-
nanie, jak również czyste i staranne odbicie
(chromolitograficznie w 13stu kolorach), w ni-
czem dawniejszemu nie ustępuje. Cena kop:
sr: 45. Nabyć go można w znaczniejszych księ-
garniach tutejszych, na prowincyi i w Cesar-
stwie, — W tymże zakładzie jest do nabycia
po cenie niższej, 1 rs. (z przesyłką poczty
rs. 1 k. 25), rycina p. n. *Obrona zamku mia-
sta Dobrzyń* (nad Wisłą), wykonana podług
rysunku P. *Sypniewskiego*, a wyobrażająca
chwile, w której broniąca się do ostatka za-
łogę Krzyżacy w przeważnej sile w pięć wy-
cinają. Również niższy zakład do rs. 1 k. 50
(z przesyłką rs. 1 k. 75). cenę dawniejszą *Albu-
mu widoków Warszawy*, składającego się z 5u
najpiękniejszych widoków miasta i okładki
allegorycznej, wszystko rysunku P. W. *Gerso-
na*, czyniąc tym sposobem o ile tylko można
przystępnymi obie te litografie, które na roz-
powszechnienie zasługują. Osoby na prowinc-
ji zamieszkałe otrzymają powyższe dwa prze-
dmioty franko, za nadesłaniem rs. 2 k. 75.

NAKLADEM

ZAKŁADU ARTYSTYCZNO LITOGRAFICZNEGO

ADAMA DZWONKOWSKIEGO i spółki

ulica Miodowa Nr. 482,

wyszedł:

**Kalendarz ścienny chromolito-
grafowany** na rok 1861 przedstawiający
widok Warszawy z przedmieścia Pragi w cza-
sie uroczystości wianków, rysunek wykonał
Lerue, litografował L. Piechaczek, Kalendarz
ten obejmuje święta kościoła Rzymsko-Kato-
lickiego, Wschodnio-Katolickiego, Ewange-
licznego na wszystkie Niedziele i Święta, dni galowe,
Zaśmienia, Sta Żydowskie e. t. c. Cena zł. 3
(45) Egzemplarze oprawione (naklejone na

tekturce kosztują zł. 3 gr. 10 (kop. 50) z prze-
syłką pocztą zł. 5 (kop. 75).

Kalendarz kieszonkowy (pugila-
resowy) na rok 1861, cena w Warszawie kop. 3
(gr. 6), 100 egzemplarzy kosztuje rs. 2 kop. 25
W krótko opuści prasę nakładem tejże firmy

**Kalendarz ilustrowany dla Po-
lek** na rok 1861. Tekst przez znanych z po-
przednich prac swoich autorów i autorek.
Ilustracje z wielką starannością wykonane
według rysunków Pilatego, Kostrzewskiego,
Gersona, litografowali najlepsi nasi w tym fa-
chu artyści K. Piechaczek, W. Walkiewicz, H.
Aschenbrenner, & Śpiew p. t. Smętność na
końcu książki dołączony napisał Wł. Wolski,
muzyka, St. Moniuszki. Cena egzemplarza na
zwykajnym papierze zewyczajnym tytułem,
okładką i bez dodatku muzycznego rs. 1 (zł. 6
gr. 20.) Wydanie na welinowym papierze
z okładką i tytułem ilustrowanym i dodat-
kiem muzycznym St. Moniuszki rs. 1. kop. 50
(złp. 10).

Egzemplarze elegancko oprawione ze zło-
conemi brzegami sprzedają się po rozmaitych
cenach stósownie do oprawy od rs. 2 kop. 50
do rs. 3.

Osoby życzące sobie mieć kalendarz illu-
strowany dla Polek przesłany pocztą, raczą
na koszt przesyłki portorji dołączyć zł. 2 (kop.
30). — Obwieszczenia do tego kalendarza
przyjmują się jeszcze do 20. b. m. Upraszamy
przy tej okazji Panów Księgarzy na prowinc-
ji o wczesne obstalunki powyższych kalen-
darzy, bo w komis takowych wcale nie prze-
syłamy.

Nakładem sztycharni nut tejże firmy wy-
szedł zeszyt 5ty Tańców narodowych polskich
i obejmuje:

PIĘĆ MAZURÓW

różnych autorów, między innemi: Józefa No-
wakowskiego i Wincentego Studzińskiego.
Cena złp. 4 (kop. 60), w okładce chromolito-
grafowanej kosztuje złp. 5 (kop. 75).

Nakładem tejże firmy wyszły niedawno
następujące kompozycje tegoż samego autora:
1) Chanson polonaise variée pour le piano
złp. 2 (kop. 30). 2) Chanson polonaise en for-
me de mazurka, złp. 1 gr. 15 (kop. 22 i pół).
3) Galop dédié a Mr Sosnkowski, złp. 1 gr. 15
(kop. 22 i pół).

Nakładem tejże sztycharni wyszła

ZABAWA WIEJSKA NA KUJAWACH.

obraz charakterystyczny utworzony na skrzyp-
ce i fortepian, przez Kazimierza Ładę (op. 22).
Cena złp. 7 (rs. 1 kop. 5. — Tegoż samego au-
tora wyszedł niedawno KUJAWIAK ułożony
na skrzypce i fortepian. Kosztuje złp. 6 gr.
20 (rs. 1).

**Biblioteki popularnej nauk
przyrodzonych A. Bernstejna.**
znajduje się obecnie w druku ostatni Tom XII
i obejmuje: „Człowiek jakim jest i co wynaj-
duje“. Osoby, któreby życzyły sobie dzieło
to nabyć jeszcze po cenie prenumeracyjnej
w ilości rs. 6, raczą składać przedpłatę
w księgarni K. Bernstejna do końca grudnia
r. b., gdyż po upływie tego czasu cena pod-
wyższoną zostanie.

Zawiadamiam szanowną publiczność, iż od-
tąd i nadal w cukierni mojej przy ulicy Dłu-
giej w hotelu Polskim Nr 585, wyrabiacz będę
nowe gatunki Tortów, jakoto:

(1) MARACHINO-TORT

Nasycony essencją marachinową, nader de-
likatny, niestarzejący się, a tżąd do przewo-
żenia na prowincję zdalny. Tort ten, lubo w
cenie nader umiarkowanej (od rs. 1 k. 50 do
rs. 4 za sztukę) zaleca się wszystkimi przy-
miotami wyborowego ciasta i na szczególną
uwagę w dobroci swojej zasługuje.

(2) WICTORIA-TORT

Ciasto na sposób angielski, wyrób wyższej
szkoły cukierniczej, obok przyjemnego wido-
ku, mieści w sobie wszystko, cokolwiek naj-
milszego smak złączyć może. Cena za sztukę
od rs. 3 do rs. 6.

R. Wisnowski.

**Poszukiwanie interessentów do
znacznego procentu.**

Pewien zakład życzy sobie dla większego
rozprzestrzenia swych czynności, posiadać

adresy właścicieli dóbr i domów na provin-
cyach i mniejszych częściach kraju. Nastręcza
to obszerne pole do działania i znaczne ko-
rzyści tak dla agentów, urzędników, jak i ko-
miwojażerów i t. d. — Bliższą wiadomość udzieli.

HAASENSTEIN i VOGLER w Hamburgu.

Dom handlowy

N. S. BRÜNER & COMP.

Ma honor zawiadomić prześwietną publiczność, że oprócz
czystującego Składu Towarów galanteryjnych przy ulicy
Miodowej pod Nr 492, z dniem 13m grudnia r. z. otwarty
został

W HOTELU EUROPEJSKIM

przy ulicy Krakowskie-Przedmie-
ście (pod Nr 15 nowym)

Drugi Magazyn

Towarów galanteryjnych, francuzkich,
angielskich i innych w najkompletniej-
szym wyborze, a mianowicie:

Pajaki, Zegary stołowe i ścienne. Świeczni-
ki, Wazony, Kandelabry, Lampy stojące i wi-
szące. Konsolki, Bronzy do firanek, Laski, Bro-
szki, Bransoletki, Deszczochrony, A tout cas,
Spierurgi Portmonetki, Cygarniczki, Pugilare-
sy, Kapelusze jedwabne paryżkie, Porcelana
chińska, francuzka i starosaska, Kalosze i Pa-
letoty gutaperkowe, Przybory do podróży,
Toaletki, Nesseserki, Perfumy, Pomady, My-
dła i wszelkie wyroby bronzowe i porcelano-
we. Polecając się prześwietnej publiczności,
wyżej wymieniony Dom handlowy starać się
będzie przez najumiarkowańsze ceny i rzetelną
usługę, w nowym tym magazynie, zasłużyć so-
bie nadal na zaufanie i na względy, któremi do-
tąd Publiczność go zaszczycała.

SYROP OWOCOWY

(Extrait de Fruits).

ulgę przynoszący w chrypkach, kaszlach
i w ogóle w słabościach piersiowych, wyra-
biany z najlepszych owoców południowych,
codziennie świeży sprzedaje się w cukierni
Roberta Wisnowskiego, przy ulicy Długiej
Nr 585 w hotelu Polskim.

ZAKŁADY TECHNICZNE

LUDWIKA SPIESS

Skład Główny w Warszawie,

ulica Senatorska Nr. 464/5, obok ko-
ściółka PP. Kanoniczek,

aopatrzonej został przy odpowiedniej porze rok

W PATENTOWANE

LAKIERY

FARBY OLEJNE

TARTE

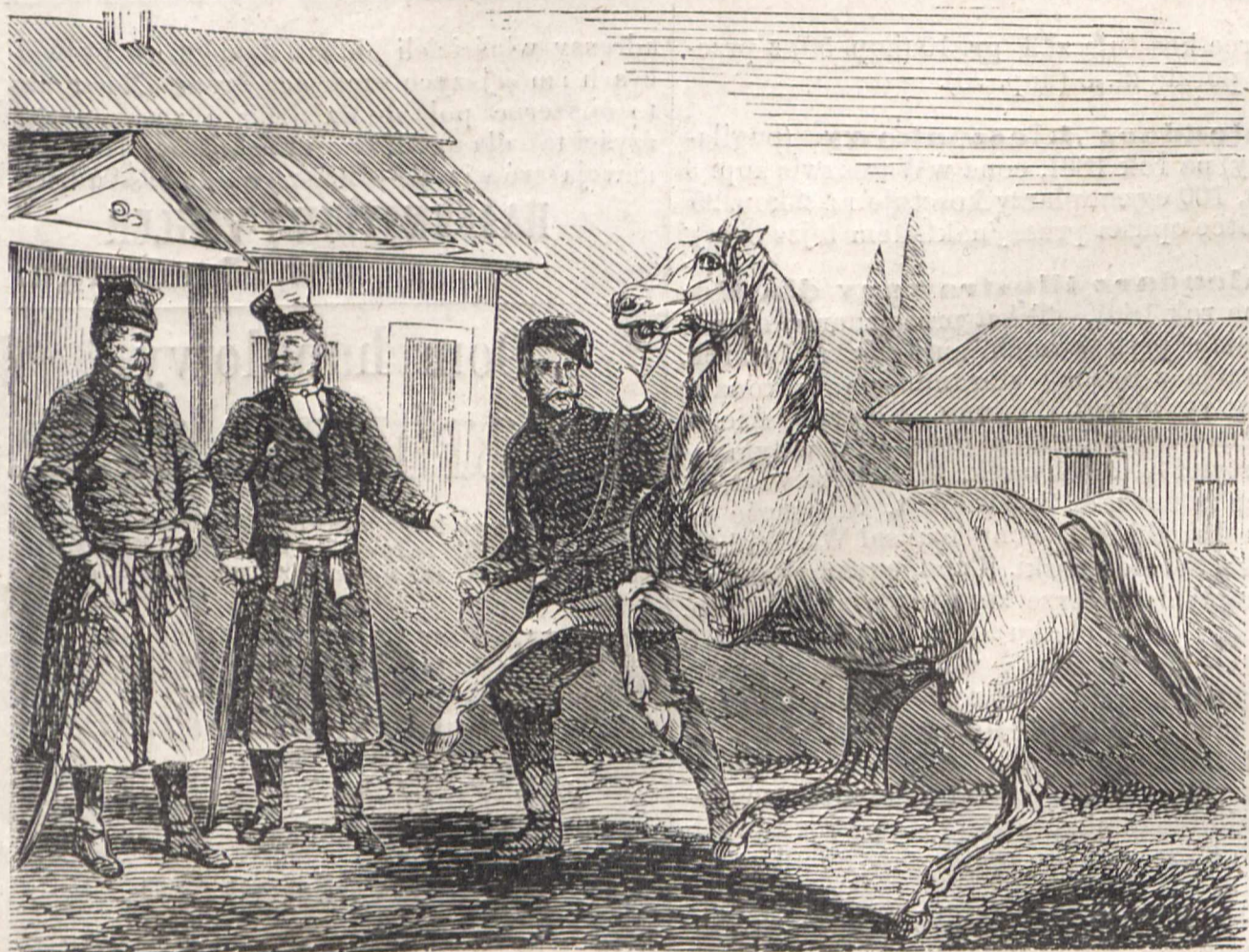
wę wszystkich kolorach i najlepszych gatunkach
FARBÓ te, jak również i LAKIERY, są przy-
rządzone wprost do użytku, tak, iż każdy naj-
mnieij nawet obeznany z sztuką malarską, może
ich używać; i dla tego szczególnie zastoso-
wać się dają do robót dla osób zamieszkałych na
prowincyi, gdzie większa trudność w dokładnym
przyrządzeniu takowych przedmiotów.
NB. Sposób użycia jest na każdym naczyniu
wydrukowany, a flaszki opatrzone są pieczęcią
i etykietą zakładu.

POWOZY DO NAJĘCIA

każdego czasu

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście
w domu PP. Wiztek wprost Saskiego
placu.

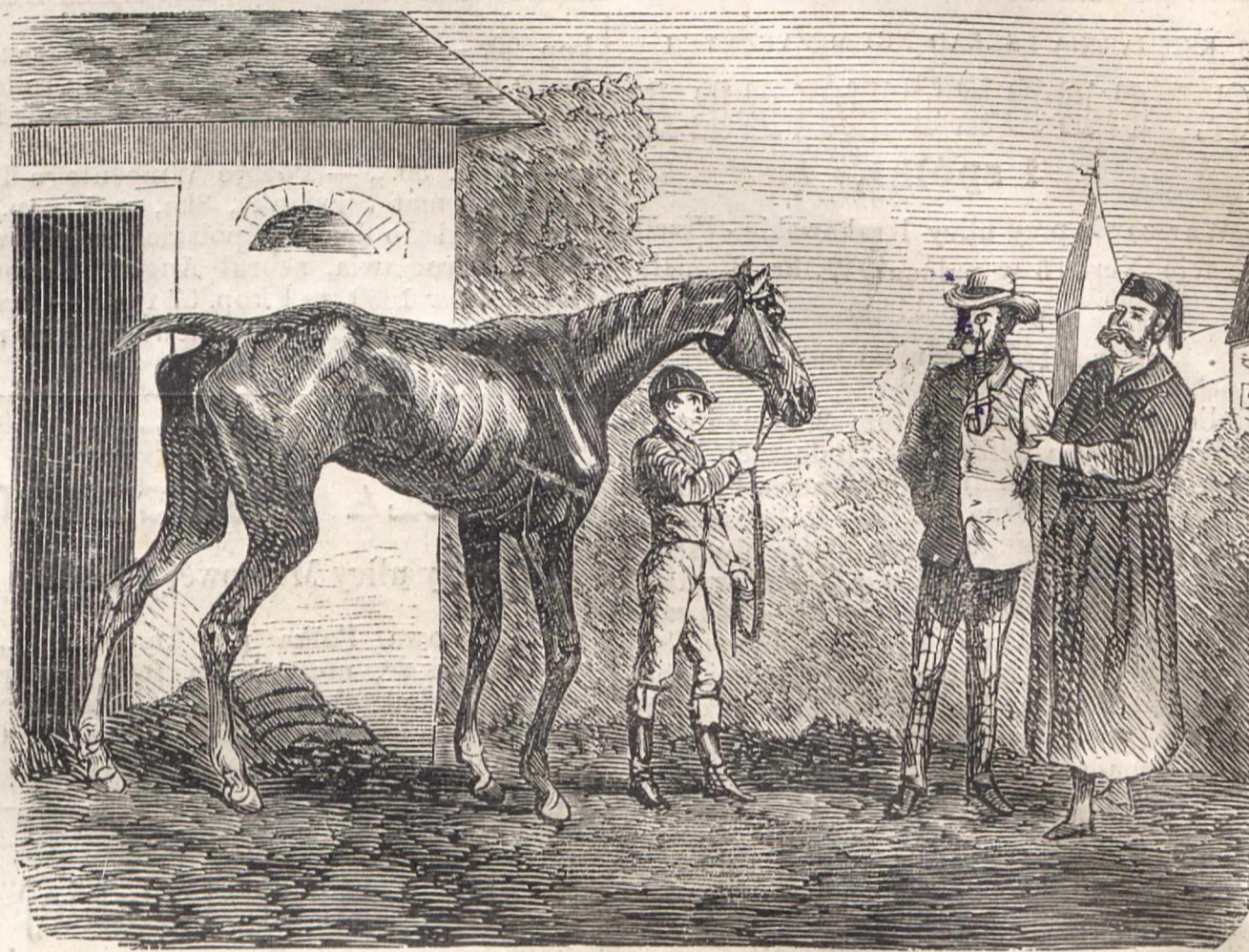
WIEK PRZESZŁY I WIEK TERAŹNIEJSZY.



WIEK PRZESZŁY.

Patrz waszmość, to szkapa!
Żyłasta a sucha,
A oko? a chrapa?!
Toć czysty żar bucha;
A pierś? pierś jak wrota,
Szeroka trzy piędzi!
A nóżka—pieszczota,
A karczek—łabędzi.
Jak ruszy, to w duszy
Raj człeku—wiatr zmierza;

Jak stanie—mur panie!
Dar pana Kaźmierza,
Wiész. Nieraz w złej chwili
Zbawiła kochana.
To gniazdo zdobyli
Dyakowscy za Jana
Po Dewlet-Giereju
Pod Wiedniem. Ba, warta
Miliony.—Macieju!
Toż trzymaj u czarta!



WIEK TERAŹNIEJSZY.

Patrzaj mon cher, to vollblutka,
Bartletts-Childers ojcem był,
Kanasz ostry, głowa krótka,
Sir John Blackbreed mi ją zbył.
A jój matka, klacz Ben-Atta,
Co ją lord Peel nabył z Fez,
Wszak to ona pokonała
Flyjng-Childersa w Steeple chase.
Przez rok cały ma wytchnienie,
Lecz wścig nagradza post.

A co nóżki? jak jelenie,
Regardez jak nosi chwost.
Czy w Łowiczu, czy w Lublinie,
Chaque fois elle charge ma bourse,
Nigdy puhar mi nie minie,
Zawsze wygram każdy kurs.
I w Warszawie zrobi sławę,
Bo to konia pierwszy sort,
John! les pieds ne sont pas lavés,
Goddam! le diable vous emporte!



WIEK PRZESZŁY.

— Macieju serdeczny,
Raz tylko przez płoty!
— Ej! panicz tak sprzecny,
Wciąż psoci. — Mój złoty!
Raz! — Hm, raz to znaczy
Pięć, gwałtem chcesz guza;
Jegomość zobaczy
I obu wytuza.
— Ba, ojciec z skarbnikiem,
Nie ujrzy i kwita,
Nie spyta pewnikiem.
— A jeśli zapyta?
Wszak zelgać nieładnie.
Na lichaż te hece!
A jeśli Jaś spadnie?
Strach! — Wstang jak zlece.
Strach słowo niewieście,
Spać z konia, to żarty,
Raz tylko! — Ha, wreszcie
Skacz, koźle uparty!



WIEK TERAŹNIEJSZY.

— Lolo! Lolo! es-tu fou?
Comment peur-tu craindre un coq?
— Dieu du ciel! c'est fait de nous!
On ma taki brzydki wzrok.
— Schnell vorwärts Anton, ich
[habe
Kein' Zeit zu rechten mit dir.
— Oj! tam widzę dużą żabę,
Ich will nicht, o wehe mir!
— To pójdz tędy, dziécie moje,
Nous passérons par ici.
— Ja nie pójde, ja się boję,
Bo tam indyk i dwa psy.
— Allez! — Indyk mię podrapie!
Jakiś duży. — Wstydz się, pfe!
— Eh madame, ja powiem pa-
[pie,
To papą wypędzi cie.
— Ja też powiem. — To ja
[skłame.
— Ah, il faut que je vous
[quitte.
— To idź sobie. — Pójdz przez
[bramę.
— Nie, bo w bramie stoi Żyd.

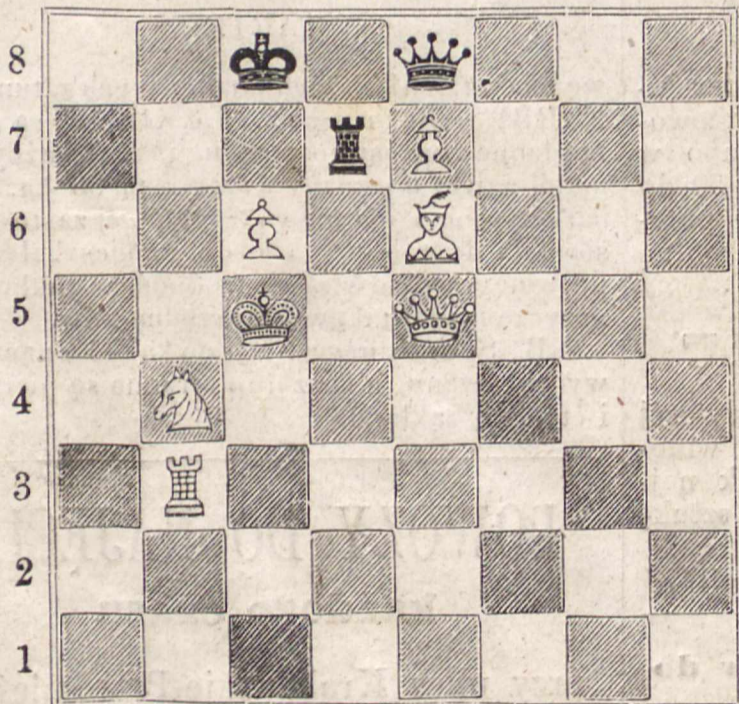
Wł. L. Anczyce.

SZACHY.

ZADANIE XLIII. (Stan. Gr. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata za 3iém posunięciem, nie biorąc żadnej z figur przeciwnika.

Czarne.



Białe.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 61.

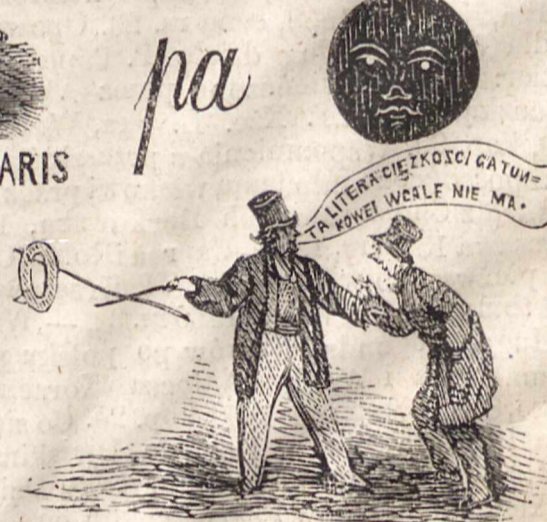
Nie jeden nieborak śmieje się, a wolalby zapłakać.

REBUS.



MUSTELLA VULGARIS

DZIA 2. LIT. EGO. 1840



Rozwiązanie zadania szachowego Ner 42.

Białe.

Czarne

1) F1 — G2 . . . 3) C3 — E1, (w zamiarze dania białym mata na H1).

2) C4 — E5 † i mat.

Gdyby czarne poszły wieżą C8, wtedy królowa biała F4 — C7 † i mat. Nareszcie jeżeli pójda koniem F2, to królowa daje mata, idąc z F4 — E4.